

Mieliśmy razem napisać powieść



Marek Hłasko i Krzysztof Komeda, lata 60., fpt. Marek Nizich-Niziński, wikimedia commons

Z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem ruchu literackiego „Współczesność”, o pobycie w Los Angeles w 1966 r. i Marku Hłasce rozmawia Danuta Błaszak (*Floryda*).

Czy możesz opowiedzieć o tym, jak spotkałeś Marka Hłaskę w Los Angeles? Wiem, że pracowaliście razem nad powieścią. Ten okres to nadal jakaś luka w powszechnie znanych życiorysach Marka. W internecie znalazłam informacje o zdemolowanych barach.

O zdemolowanych barach w Los Angeles nigdy nie słyszałem.

Marka znałem z „Po prostu” i wyczekiwań u Wilhelma Macha – naczelnego Kultury. Przyjaźnił się z Romanem Śliwonikiem. Nie był założycielem „Współczesności”. Wtedy w roku 1956 dystansował się od nas, chociaż podpisywał petycje.

W latach 1958 – 1966 nie mieliśmy kontaktu na emigracji. Marek był protegowanym Giedroycia, a ja nie. Prócz tego, a to chyba najważniejsze, ja byłem w Australii, a on w Paryżu i Izraelu. Spotkaliśmy się ponownie w Los Angeles w ostatnim roku jego życia. Nie wiedziałem wcześniej o planach Romana Polańskiego ściągnięcia Marka Hłaski do Los Angeles w roku 1966. To była dla mnie niespodzianka.

Spotkanie i wspólny pobyt w Los Angeles Ciebie, legendarnego założyciela „Współczesności”, z Markiem

Hłaską... to brzmi niemal niewiarygodnie. Pisanie wspólnej powieści - to działa na wyobraźnię. Plany zostały przerwane przez śmierć Marka. Jak się spotkaliście?

O tym, że Romek Polański ściągnął Marka do Los Angeles dowiedziałem się właśnie od Marka. Dokładnie nie pamiętam kiedy i jak, ale Marek pokłócił się z Romkiem, któremu miał pisać scenariusz. Zaraz po moim przyjeździe do Los Angeles, Danusia Zawadzka poinformowała mnie, że Marek tam mieszka i dała jego adres na Wilshire.

Wilshire zaczyna się w samym sercu miasta i idzie w prostej linii, przez Santa Monica, do Pacyfiku. Jest to główna arteria Los Angeles długa na kilkanaście mil. Wzdłuż niej, wtedy były głównie banki, hotele, rozmaite oficjalne budynki i luksusowe kondominia. Adres na tak ważnej i drogiej ulicy zadziwił mnie, ale wiedząc, że Marek jest pisarzem o międzynarodowej sławie myślałem, że odpowiada to jego kieszeni. Jak się później okazało, jego kieszeń była jeszcze bardziej dziurawa niż moja.

Po przeszło godzinnej jeździe autobusem dotarłem wreszcie w pobliże jego numeru i okazało się, że to był jeden z bardzo już nielicznych starych budynków, prawie rudera. Marka już tam nie było. Nowi i gościnni lokatorzy, jacyś studenci – hipisi z UCLA, Westwood, znali Marka, ale nie jego adres, obecnie gdzieś w Hollywood.

I jak go znalazles?

Wcale nie w Hollywood. Mieszkałem w starym czynszowym domu w pobliżu śródmieścia i centralnej miejskiej biblioteki i Domu Polskiego założonego gdzieś na początku dwudziestego stulecia przez polskich socjalistów. Pozostały po nich stempelki na książkach bibliotecznych. Dziś funkcje tego domu sprawuje polski Kościół na Adams, do którego powstania przyczyniła się hojność pani Apolonii Chałupiec, znanej jako Pola Negri.

Właścicielem „mojego” domu był niejaki pan Świątek, milioner, ale skąpiec który gnieździł się w jednym pokoiku wraz siostrą, jak mnie zapewniał nieoceniony gawędziarz (i plotkarz) Bohdan Brym. Budynek był bez windy i gdy wreszcie wspiałem się na ostatnie piętro, któż siedział na schodach pod drzwiami mojego apartamentu? – Marek Hłasko! Marek nie zmienił się, raczej odmłodził i wyglądał wręcz chłopięco, zwłaszcza z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany po sportowemu. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się sobie spowiadać, z tego co się z nami działo w ciągu ostatnich lat. Ale zaczęliśmy opowieści od ówczesnego ranka. Od tego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń i współpraca literacka.

Marek opowiadał, że wtedy obudził go tubalny głos Leonidasa Ossetyńskiego, który stał pod oknem jego mieszkania na Pointsettia i wykrzykiwał na całe Los Angeles, że Szymański

przyjechał do tego słynnego miasta Aniołów. Marek wsiadł w swój samochód i wkrótce już całował klamkę drzwi mego apartamentu. Postanowił poczekać, no i doczekał się.

Marek był bez pracy i pieniędzy. Zaprosił go do Los Angeles Roman Polański. Chciał od Marka scenariusz. Chyba zapłacił za przyjazd i pokrył koszt utrzymania przez pierwsze dni. Ale rychło się poróżnili i ze współpracy nic nie wyszło. Odniosłem wrażenie, że Marek jest poróżniony z wieloma osobami. Miał też jakieś zatargi z Sakowskim z Londynu. Wyglądało na to, że miał rozmaite pretensje do Romana, ale nie wypytywałem się o szczegóły. W konkluzji Marek stwierdził, że gdyby nie te ich nieporozumienia, to pewnie byłby zamordowany wraz z żoną Polańskiego i Wojtkiem Frykowskim. Pamiętam, że określił Sharon Tate jako wysoką „gidyję”.

Marek nic nie mówił dlaczego Roman Polański wycofał się ze swojego zamierzenia nakręcenia filmu według jego scenariusza. Nie wiem czy ten scenariusz został napisany.

W owym okresie od „oficjalnej” Polonii Marek trzymał się raczej na uboczu. Zasadniczo „opiekował” się nim Leonidas Dudincew Ossetyński, aktor i poeta, dyrektor szkoły aktorskiej, gdzie uczył pupilków metodą Stanisławskiego i Grotowskiego. Miewał jakieś podrzędne role w rozmaitych filmach. Finansowo dawał sobie radę jako tako. To Leonidas wystarał się Markowi o mieszkanie

na Pointsettia. Bardzo obszerne, staromodne i na spokojnej ulicy w pobliżu Hollywood. Fizyczne zdrowie Marka było pod dozorem doktora Otto Lauterbacha, przyjaciela pisarzy, człowieka typu Mieczysława Grydzewskiego. Przez pewien okres Marek kolegował się z Henrykiem Grynbergiem.

Mój przyjazd trochę pomógł Markowi bo, ja dzięki doktorowi Michałowi Zawadzkiemu i jego żonie Danusi, miałem poprawne stosunki z „oficjalną” Polonią, zasadniczo tą wojenną. Leonidas, ekscentryk i aktor to była „bohema”! Ja – ni pies ni wydra, podobnie jak w Polsce, nigdzie nie pasowałem. Dla „bohemy” byłem zbyt burżujski, dla burżujów zbyt cygański! W Polsce dla partyjniaków zbyt buntowniczy i niezależny, dla innych zbyt oportunistyczny i ugodowy.

Ale wracając do rzeczy. Markowi zaczął pomagać Szczepan Zimmer, autor książki z „Chałupy na Parnas” o Kasprowiczu. Zimmer był dyrektorem biblioteki szpitalnej, gdzie też wystarał się o pracę dla mnie. Pamiętam jak kiedyś u mnie siedzieli, na parapecie okna z Markiem, oświeceni promieniami zachodzącego słońca, tak jakby pozowali dla potomności.

Samopomoc oferowała Markowi pożyczkę. Danusia Zawadzka wystarała się mu o pracę u Wnurowskiego, nie pomnę imienia. Weterana i właściciela fabryczki w sienkiewiczowskim Anaheim. Marek zaczął się interesować Różą Piłsudską.

Jakie zajęcie znalazł sobie Marek Hłasko w Los Angeles?

Dziwiłem się, że Marek nie próbuje jakiejs pracy biurowej i ubiega się o pracę „helpera”, tj. niewykwalifikowanego robotnika. Na co on odpowiadał, że do pracy biurowej się nie nadaje.

W końcu Wnurowski, w Anaheim dał mu pracę w swej fabryce. Pamiętam, że chciał wziąć Marka do „offisu”, ale Marek odmówił. Więc przenosił blachy z jednego miejsca w drugie. Ciął sobie dłonie i dezynfekował czerwonym środkiem odkażającym, Te prawie ukrzyżowane ręce pisarza robiły straszliwe wrażenie. Symbol pisarstwa emigracyjnego. Na proste pytanie, dlaczego nie używa rękawic odpowiedział, że blacha się wyslizguje.

Jak spędzaliście czas?

Często wtedy jeździliśmy na plażę (Marek jak się wyrażał był „wodniakiem”) wraz z moją pierwszą małżonką Jadwigą (Marek twierdził, że jest to jedna z nielicznych osób, które nic złego o innych nie mówią. Uczył ją też jazdy samochodem) i Leonidasem, wtedy jeszcze nieżonatym. W związku z tym pamiętam, że któregoś upalnego dnia wyraziłem zdziwienie, że tylu mieszkańców naszej ulicy spędza czas piekąc się na chodnikach, zamiast pojechać nad ocean. Na co Marek odpowiedział, że większość z nich nie ma samochodów. Dojazd autobusem ze

śródmieścia jest kosztowny i długi. Prócz tego może się lepiej czuć w mieście, niż na łonie natury. Prawdy oczywiste, ale jakoś nie przyszły mi do głowy.



Leszek Szymbański

Leszek Szymbański – pisarz, dziennikarz, historyk, podróżnik, politolog, filozof, ważna postać wśród polskich pisarzy emigracyjnych. Jest autorem wielu dzieł beletrystycznych i *non-fiction*, głównie w języku angielskim, ma swoje miejsce w literaturach Polski, Australii i USA. Jest laureatem Nagrody im. Josepha Conrada przyznanej przez Miasto Literatów z Florydy. W Polsce znany jest w kręgach literackich jako legendarny założyciel „Współczesności”, pisma, które w 1956 r. było jedyną niezależną publikacją za żelazną kurtyną.

Zobacz też:

Pałac Gubernatora w Santa Monica i inne legendy.
Wspomnienie o Marku Hłasce.

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Wychylić się ponad parapet

Z Bogdanem Frymorgenem, na stałe zamieszkałym w Londynie dziennikarzem i fotografem, o sztuce, muzyce i

**innych fascynacjach - rozmawia Bożena U. Zaremba
(Floryda).**



Zdjęcie z albumu „Lanckorona”, fot. Bogdan Frymorgen

ROZMOWA 2

Dlaczego wyjechałeś z Polski?

To była połowa lat 80. – okres jakiegoś załamania, beznadziei, braku perspektyw. Nigdy natomiast nie czułem się uciekinierem politycznym, aczkolwiek zawsze mi bardzo leżało na sercu, to co się w Polsce dzieje i świętowałem przez 30 lat pozytywny rozwój Polski. Mieszkam w Wielkiej Brytanii z pełną odpowiedzialnością, uczestniczę w życiu społecznym i oczywiście też przejmuję się

tym, co się dzieje z moją drugą ojczyzną, brexitem i pandemią, nie mówiąc już o tym, co grozi temu krajowi – potencjalne odcięcie się Szkocji i być może docelowo zjednoczenie Irlandii, co jest bardzo prawdopodobne.

W BBC przepracowałeś 24 lata jako reżyser dźwięku.

Bardzo mi to odpowiadało. Uwielbiam muzykę i jestem na dźwięk bardzo wrażliwy. Natomiast równolegle robiłem swoje polskie projekty. Prowadziłem też programy o muzyce klasycznej. Wychodzę z założenia, że w życiu należy robić tysiące różnych rzeczy, im więcej tym lepiej.

Twoją pierwszą miłością muzyczną to był Bach, którego w książce „Okruchy większej całości” nazywasz swoją świątynią. Jego muzykę usłyszałeś po raz pierwszy w kościele w wykonaniu organisty.

Tak, tyle, że wtedy nie wiedziałem, że to był Bach. Dla mnie wycieczki do kościoła były tylko po to, żeby posłuchać organów – jak wszyscy wychodzili po Mszy i pan Linert – nasz organista – w końcu mógł sobie „poszaleć”, to ja stawałem, jak wryty. Notabene, skontaktował się ze mną ostatnio jego syn, przeszczęśliwy, że ktoś jeszcze pamiętał jego ojca. Nigdy formalnie nie przeszedłem przez szkołę muzyczną, ale jakoś nadrobiłem to w późniejszym okresie mojego życia. Zająłem się

potem muzyką klasyczną, chociaż nie od razu Bachem, a jak już do niego w końcu dotarłem to za nogi nie puściłem. Słucham jego na co dzień. To jest mój największy przyjaciel i nigdy nie czuję się samotny. Są inni fantastyczni kompozytorzy, ale tej katedry nikt nie jest w stanie zburzyć.



Okładka albumu „The Tribute” poświęconego siedzibie BBC, fot. Bogdan Frymorgen

Porozmawiajmy o fotografii. Brytyjski fotografik Gerald Howson powiedział w Twoim autorskim filmie dokumentalnym jemu poświęconym, że fotografując Polskę w latach 50. starał się robić to „bez artystycznej przesady”, „bez egzaltacji”. Patrząc na Twoje albumy fotograficzne

można wywnioskować, że to stało się także i Twoją mantrą.

Kiedy spotkaliśmy się z Geraldem, zajmowałem się już fotografią przez jakiś czas i powiem tak – ja robię swoje. Natomiast jak w pewnym momencie pojawiają się na mojej drodze niezwykle ludzie, a zdarzyło mi się tak dwukrotnie, za pierwszym razem to był Gerald, za drugim, izraelska pisarka Irit Amiel, rzucam wszystko i zajmuję się nimi. Gerald zabrał mi sześć lat mojego życia, ale nie żałuję ani jednego dnia. To było niesamowite doświadczenie. Najpierw odkrycie jego archiwum z negatywami, które przeleżały w szufladzie przez 50 lat i nikt ich nie widział na oczy. Potem wystawa na krakowskim Kazimierzu i ci ludzie przychodzący na nią ze łzami w oczach rozpoznający siebie na tych zdjęciach jako dzieci – ludzie, którzy mają po siedemdziesiąt lat! Gerald z wykształcenia był malarzem i ta malarskość jest obecna w jego kadrach. Poza tym miał niezwykłą umiejętność opowiadania o rzeczach skomplikowanych prostym językiem. Był niezwykłym, a dla mnie bardzo ważnym człowiekiem, w pewnym sensie moim mentorem, mimo że ja miałem wtedy już 50 lat.

Podobnie było z Irit Amiel, w której „zakochałem się” – w 85-letniej kobiecie – zresztą z wzajemnością. Irit urodziła się w Częstochowie jako Irenka Librowicz, cudem ocalała z getta częstochowskiego, potem wyjechała do Izraela, tam założyła rodzinę i zmieniła nazwisko na Irit Amiel. Pisała przepiękne książki. Koniecznie polecam jej autobiografię „Życie tytuł

tymczasowy”. Pojawiła się w moim życiu poniekąd znikąd, ale jeżeli miałbym się doszukiwać jakiś boskich wektorów, to właśnie w takich spotkaniach czy w zderzeniu się niezwykłych energii. Takich ludzi wciąż jest bardzo dużo. Trzeba tylko mieć czułości otwarte, żeby ich rozpoznać i dać im kawałeczek siebie, żeby ślad po nich pozostał.

Powiedz coś o powstaniu Twoich albumów o Kazimierzu.

Wydałem dwa albumy, „Kazimierz bez słów” i po prostu „Kazimierz”. Ten pierwszy powstał z pewnej potrzeby. W roku 2007 pochowałem swojego przyjaciela, Chrisa Schwarza, któremu pomagałem założyć Żydowskie Muzeum Galicja w Krakowie. Chris zostawił mi w spadku piękny aparat fotograficzny, który przez wiele lat leżał u mnie na kominku, jak relikwia, aż w pewnym momencie postanowiłem dotknąć tego aparatu i zrobić zdjęcia na Kazimierzu i tym samym złożyć hołd mojemu kumplowi.

To zdjęcie zrobiło na mnie szczególne wrażenie: na tle ściany z obrysami ludzi widać kobietę idącą załatwić jakieś codzienne sprawunki, nieświadomą duchów ludzi, którzy kiedyś tam mieszkali.

Te dziwne postacie namalowane kredą na murze to jest efekt akcji, którą zorganizowałem przez Muzeum Galicja jeszcze z

Chrisem, w kolejną rocznicę wypędzenia Żydów z Kazimierza do getta na Podgórzu. Zaangażowałam do tej akcji studentów z Akademii Sztuk Pięknych – każdy dostał listę ulic i kredę i przez całą noc chodziliśmy po ulicach Kazimierza, kładliśmy się na ulicy albo przyklejali do ścian i obrysowywaliśmy ludzkie kontury. Jak Kazimierz obudził się następnego dnia, to był pokryty setkami takich konturów. To zdjęcie jest zrobione już kilka lat po tej akcji, kilka lat po śmierci Chrisa, kiedy gdzieś tam te kontury jeszcze zostały na ścianie.



Zdjęcie z albumu „Kazimierz bez słów”, fot. Bogdan Frymorgen
Skąd Twoje zainteresowanie tematyką żydowską?

Urodziłem się 17 lat po wojnie, w kraju, w którym nie mówiono nam ani o Żydach, ani o Zagładzie. W mojej wsi to był temat tabu, wsi, która była oddalona od Auschwitz o 20 km i nie miałem kompletnie zielonego pojęcia, co tam się działo.

Chodziłem do szkoły podstawowej im. Janusza Korczaka, ale przez 8 lat nikt mi nigdy nie powiedział, że Korczak był Żydem – on był polskim doktorem, który heroicznie zginął z polskimi dziećmi w Treblince. Znowu, obok mojej szkoły średniej w Bielsku-Białej, był taki wyłom, gdzie kiedyś stała piękna przedwojenna synagoga. Przez 4 lata, jak otwieraliśmy okna, żeby przewietrzyć klasę i patrzyliśmy na tę pustą przestrzeń, nikt nam o tym nie powiedział. W końcu będąc na studiach w Krakowie zobaczyłem film dokumentalny Clauda Lanzamana pt. „Shoah” i wtedy świat mi runął na głowę i otworzyły mi się oczy. To był największy szok. I bunt. I złość. Samym Kazimierzem zainteresowałem się pomagając Chrisowi w stworzeniu Muzeum Galicja, potem kupiliśmy z żoną mieszkanie na Kazimierzu i zacząłem po nim buszować. Pierwsze zdjęcie powstało dopiero w 2006 r., ale one są tak zrobione, że mogły być równie dobrze zrobione kilkadziesiąt lat temu. Drugi album o Kazimierzu zadedykowałem Irit, która napisała kilka takich zdań na okładkę: „Patrzę na strony albumu mojego przyjaciela [...] i czuję totalny brak prawdziwego żydowskiego życia. Dla mnie cała Polska od góry do dołu jest jednym wielkim cmentarzyskiem, jedną boleśnie krwawiącą raną. Skończyła się historia polsko-żydowska. Album sieje tą nieobecnością”. To są absolutnie święte i szczere słowa,

natomiast wszystko to, co jest w środku tego albumu jest zaledwie próbą pokazania tego, czego nie ma.

Dlaczego publikujesz zdjęcia wyłącznie czarno-białe?

Po pierwsze aparat fotograficzny, który dostałem od Chrisa w prezencie miał w środku załadowany film czarno-biały.

Przypuszczalnie, gdyby w środku był film kolorowy, to bym robił zdjęcia kolorowe [*śmiech*]. Po drugie, pamiętam z mojego domu czarno-biały telewizor, w którym świat wydawał się taki

autentyczny, szczery i prawdziwy. Może dlatego, że byliśmy dziećmi. Oprócz tego jak oglądałem Kazimierz, to oglądałem go oczyma ludzi, którzy tam kiedyś żyli, a kiedy oglądałem

Lanckoronę, to oglądałem ją oczyma mojej babki. W tym czasie nie było kolorowej fotografii. Te wszystkie zdjęcia, robione techniką cyfrową, zaczynają życie jako zdjęcia kolorowe, dopiero później pozbawiam je koloru.



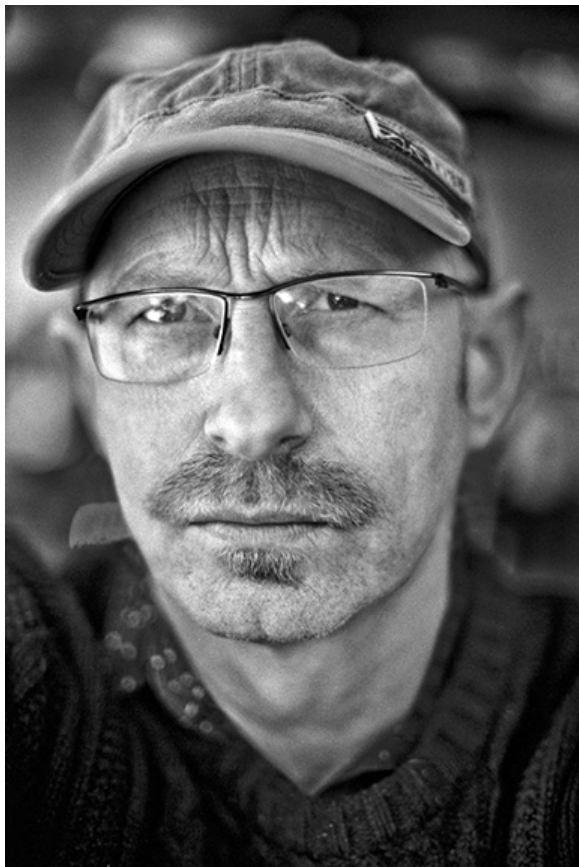
Zdjęcie z albumu „Lanckorona”, fot. Bogdan Frymorgen

Z albumu o Lanckoronie wybrałam zdjęcie zgiętej w pół staruszki idącej w kierunku ulicznej latarni. To jedno z moich ulubionych.

Ono mówi wszystko. To zdjęcie mogło powstać pod koniec XIX wieku, a powstało kilka lat temu, co pokazuje, jakim miejscem jest Lanckorona, jakie bajeczne rzeczy tam się dzieją, ale to trzeba umieć dostrzec i trzeba to chwycić. Ta kobieta idzie na nieszpory, a to światło, które widzisz to jest latarnia przyczepiona do budynku kościoła. Tylko ludzie, którzy znają Lanckoronę to rozpoznają.

Ja widzę w nim symbolikę - drogę do światła, może drogę do śmierci, mimo tego, że ono nie jest smutne.

Tam przede wszystkim jest spokój. A temat śmierci pojawia się wielokrotnie w mojej książce, bo jestem całkowicie oswojony z tym tematem. Śmierć jest taką samą częścią życia jak i narodziny, a im jesteśmy dalej, tym jesteśmy coraz bliżej niej. A fotografią można i należy opowiadać o wszystkim. Bardzo lubię fotografie kontrowersyjne, takich autorów, którzy są niezwykli, właśnie dlatego, że nie boją się wychylić. Zresztą w każdej dziedzinie sztuki bez ryzyka nie da się niczego osiągnąć. Sztuka bez ryzyka staje się szampańska i nudna. Nie twierdzę, że to, co robię – słowem czy zdjęciem – jest jakieś rewolucyjne, ale lubię się wychylić troszeczkę ponad parapet.



Bogdan Frymorgen, autoportret

Bogdan Frymorgen – dziennikarz, fotograf i autor debiutanckich wspomnień „Okruchy większej całości”, które są powrotem do lat dzieciństwa naznaczonego chorobą psychiczną ojca. Studiował anglistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Był współzałożycielem trzyosobowego zespołu BUS STOP, w którym grał na gitarze i śpiewał piosenki z gatunku amerykańskiego folku. Zespół zdobył nagrody na Festiwalu FAMA, Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie i wyróżnienie na opolskich Debiutach. Od 1986 r. na stałe mieszka w Londynie. Przez dwadzieścia cztery lata pracował dla Serwisu Światowego BBC jako reżyser dźwięku. Był także realizatorem i prowadził przez 6 lat programy o muzyce klasycznej. Jest korespondentem radia RMF FM, dla którego realizuje reportaże, przeprowadza

wywiady ze światowej sławy artystami i politykami. Wydał autorskie albumy fotograficzne: „Kazimierz bez słów” (2011), Kazimierz (1918), „The Tribute” (2012), poświęcony Bush House, w latach 1932-2012 głównej siedzibie BBC World Service i „Lanckorona” (2015). Jest kuratorem archiwum i wystawy brytyjskiego fotografa Geralda Howsona oraz autorem filmu dokumentalnego jemu poświęconego, pt. „Gerald Howson bardzo polska sprawa” o zdjęciach przedstawiających Polskę końca lat 50. Doprowadził do wydania dwujęzycznego tomiku poezji Irit Amiel, izraelskiej pisarki ocalonej z Zagłady, pt. „Spóźniona/Delayed” (Wyd. Austeria). Bogdan Frymorgen współpracuje z wieloma instytucjami kulturalnymi w Polsce. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików i rady nadzorczej Żydowskiego Muzeum Galicja w Krakowie oraz Ambasadorem III Kongresu Zdrowia Psychicznego.. Obecnie pracuje nad wydaniem kolejnego albumu fotograficznego pt. „Człowiek”. Jego książka „Okruchy większej całości” (2021) jest dostępna (z możliwością wysyłki zagranicznej) na stronie wydawnictwa Austeria:
<https://austeria.pl/produkt/okruchy-wiekszej-calosci/>.

Zapraszamy do komentowania książki i śledzenia poczynąń autora na Facebooku, na stronie „Frymopisanie”.

*

Rozmowa 1:

Pamięć nie jest prawdą

Wersja angielska:

„Memory Is Not the Truth”

Pamięć nie jest prawdą

Z Bogdanem Frymorgenem, na stałe zamieszkałym w Londynie dziennikarzem i fotografem oraz autorem debiutanckiej prozy „Okruchy większej całości”, w której „ożywia kadry” z dzieciństwa naznaczonego chorobą

**dwubiegunową ojca - rozmawia Bożena U. Zaremba
(Floryda).**



Fot. Bogdan Frymorgen

ROZMOWA 1

Debiut literacki w wieku 58 lat to zjawisko rzadko spotykane, ale w sumie zawodowo parasz się słowem od wielu lat.

Gdy pierwszy raz ktoś nazwał moją książkę debiutem, to doznałem szoku. Ten tekst powstawał bardzo naturalnie, wcale nie z myślą o tym, że będzie kiedyś leżeć na półce w formie książki. Nazwano ją też biografią, ale ja nie opisuję swojego

życia, raczej pewne skrawki pamięci, po której postanowiłem podróżować, kiedy pandemia pozamykała nas w domach. Wieczorami, kiedy cały dom kładł się już spać, [mój pies] Siena rozkładał się obok mnie, a ja otwierałem komputer i sobie pisałem. Ale słowem rzeczywiście zarabiam od dawna – od wielu lat jestem korespondentem radia RMF FM, wcześniej pracowałem w BBC. Pracuję polskim słowem, co jest dosyć ważne dlatego, że po 35 latach mieszkania na Wyspach Brytyjskich, pracowania wśród Anglików i otaczania się głównie Anglikami, gdybym miał mówić coś publicznie, albo pisać, wybrałbym język angielski. Ale ta książka musiała powstać po polsku, dlatego, że to jest język mojej pamięci, mojego dzieciństwa i język, którym wszedłem w życie. Od zawsze staram się język polski pielęgnować, raz, że nim zarabiam na życie uprawiając dziennikarstwo, a dwa, że chciałem, żeby moje dzieci poprawnie nim władały. U mnie w domu zawsze mówiło się po polsku i moi synowie, już dorośli – jeden ma 30 drugi 27 lat – są dwujęzyczni, dwukulturowi. Przypuszczam, żebyś się nie zorientowała, że się tutaj urodzili, wychowali i wykształcili. Tak, więc jest to taki śmieszny debiut. Wydałem wcześniej albumy fotograficzne i w nich też pojawia się słowo – na przykład w albumie „Kazimierz”, tyle, że tekst jest tam w formie mikroskopijnej, bardzo ascetyczny, lakoniczny, ale i precyzyjny.

Powiedziałeś kiedyś, że ta książka powstała z potrzeby rozwiązywania pewnych węzłów, czy też uporządkowania i

uproszczenia pewnych wydarzeń z Twojego życiorysu.

Podobnie jak to robię w mojej fotografii, która wkradła się do tej książki podstępnie. Ta książka jest generalnie zbiorem kadrów z przeszłości, które zapamiętałem z fotograficzną precyzją i które ożywiam – ruchem, dźwiękiem, zapachem, emocjami, słowem. Z tym, że mimo tego, że wszystko jest w tej książce poukładane w miarę chronologicznie, nie pisałem jej chronologicznie.

Poszczególne rozdziały powstały z potrzeby chwili i z potrzeby pewnych emocji. Kodem była tutaj chronologia pamięci.

Jedną z inspiracji było Twoje zainteresowanie Jungiem, twórcą psychologii analitycznej i psychoterapii. Czy pisanie było dla Ciebie formą katharsis?

To było naturalne przedłużenie terapii, którą przeszedłem kilka lat temu. Zawsze interesowałem się filozofią Junga i nim samym jako człowiekiem. A kiedy stuknęła mi 50-tka, a umówmy się, to jest to taki „osiowy” wiek, postanowiłem sobie zrobić prezent w postaci dziesięciu sesji z psychoanalizy. Poza tym od 30 lat słyszałem od mojej żony – w sytuacjach podbramkowych – że miałem ojca wariata, więc powinienem pójść na jakąś terapię. Bronilem się przed tym, bo uważałem, że ojca mam zupełnie „przerobionego”, ale dzieciaki mi wyfrunęły z gniazda, spłaciliśmy kredyt na dom i zakończyłem po 24 latach pracę w BBC. To były takie ważne cezury. W czasie tych sesji

terapeutycznych okazało się bardzo szybko, że co prawda mojego ojca, który chorował psychicznie przez całe życie, a ja dorastałem w domu wypełnionym jego dwubiegunową chorobą, mam kompletnie rozpracowanego, nie mam w swojej głowie ułożonej ani mojej babki, ani matki, a i z bratem też należałoby parę rzeczy rozwiązać. Pootwierały się wtedy pewne „pory” mojej duszy i mogłem sobie o tym porozmawiać. Podczas niektórych sesji wychodziły zupełnie niezwykle, odkrywcze treści. W takich momentach nie wierzysz, że to co słyszysz twoje uszy wychodzi z twoich ust i następuje jakby przeprogramowanie podświadomości i świadomości. I muszę przyznać, że to było absolutnie zjawiskowe! Potem, przelewając te treści na papier doznawałem czasem prawie fizycznego wstrząsu, bo nagle okazywało się, że potrafiłem jakiś moment z przeszłości, który był głęboko zakopany w mojej podświadomości, wyzwolić. To są być może najmocniejsze momenty w tej książce. Nie powiem, które. Tak więc, jeżeli ta książka jest przedłużeniem terapii, to też sama w sobie jest terapią.



Fot. Bogdan Frymorgen

Te opowieści są bardzo uniwersalne, a książka spotyka się z bardzo szerokim, entuzjastycznym odbiorem. Jednym z najczęściej przewijających się spostrzeżeń to ogromna szczerść Twojego pisarstwa, brak wybielacza czy retuszu, cytując Marcina Zygadło: „Frymorgen fotografuje uważnie i nie używa filtrów. W jego ‘obiektywie’ rzeczy odarte są z pozorów, nazwane są po imieniu, tak jakby autor postanowił obnażyć się ostatecznie.” Czy rzeczywiście obnażenie było całkowite? Czy zostawiłeś może jednak

jakaś tajemnicę, która jest znana tylko Tobie, albo najbliższym?

Ależ tak! Zostały napisane rozdziały, które nie mogły się znaleźć w książce, musiałem zachować pewien umiar. Najtrudniejszy był rozdział o moim bracie – jest oczywiście bardzo szczery, ale napisany jest miłością. Mój brat doskonale czuje i wie, że to jest niełatwy temat, ale bez niego tej książki nie mogło być, bo mój brat, tak samo jak i matka, i ojciec wypełniają bardzo dużą przestrzeń w moim życiu. Ale tutaj nie ma obnażania czegokolwiek. Ja doznałem pewnego przeistoczenia, to znaczy uprościłem się w środku, tak jak kiedyś szukałem takiego ascetycznego, uproszczonego porządku w swoim kadrze fotograficznym, usuwając ze zdjęć zbędne rekwizyty. Zawsze mi zależało na tym, żeby ukazać pustkę albo ciszę, szczególnie w momentach, kiedy byłem otoczony hałasem i szumem. Tak było na przykład ze zdjęciami moich dzieci, od których moja tak zwana kariera fotograficzna się zaczęła. One na tych zdjęciach są samotnymi, wyciszonymi, małymi ludźmi. Kiedy żona ujrzała te zdjęcia po raz pierwszy w galerii w Krakowie, nie mogła uwierzyć, że to są nasi synowie. Ona pamiętała ten sam czas jako harmider, wrzask, szarpaninę, sprzeczki. Natomiast ja szukałem w tym ciszy, wchodziłem w tą szczelinę i robiłem zdjęcia. W mojej książce sam stałem się kadrem, to znaczy wziąłem trzon ze swojej fotografii i moje człowieczeństwo uprościłem i wyczyściłem. Dlatego język jest taki, jaki jest. Tam nie ma

zbędnych słów, słowa są precyzyjnie dobrane. Kiedy redagowałem ten tekst, starałem się usuwać zbędne rekwizyty, czasami dodawałem coś, ale głównie obcinałem, aż dochodziłem do momentu, kiedy usunięcie jednego słowa doprowadziłoby do zawalenia się tej konstrukcji, tak jak domku z kart. Wtedy wiedziałem, że to jest to.

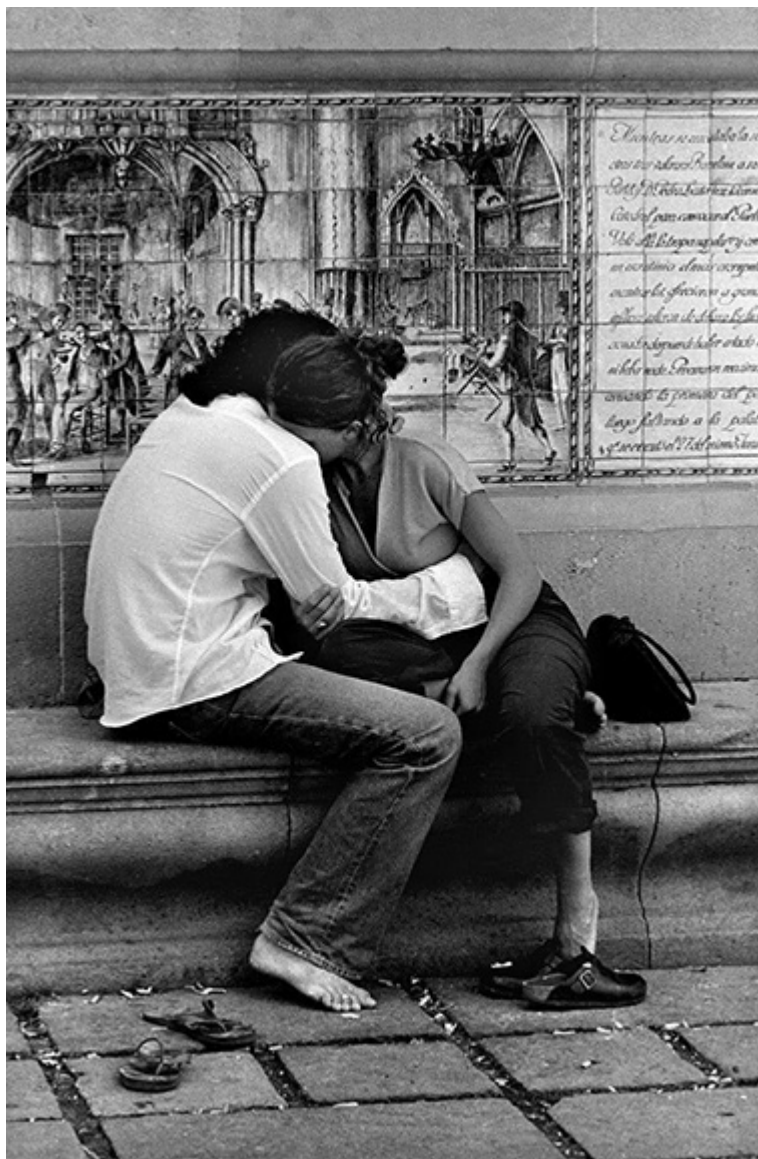
Ze swoim bratem i babką rozprawiasz się dość ostro...

To spontanicznie ze mnie wyszło. To był pewien egzorcyzm. Moją niechęć, bo nie chcę mocniejszych słów używać w stosunku do swojej babki, spakowałem w cierpką historię i koniec. Natomiast sprawa z moim bratem jest inna, bo rozumiem, dlaczego tak to wyglądało. On był ode mnie cztery i pół roku starszy i wiele więcej doświadczył choroby mojego ojca. Kiedy dołączyłem do „zespołu”, stałem się clownem, który rozśmieszał wszystkich, natomiast mój brat był dla mamy wsparciem, był jej powiernikiem. Jest to strasznie ciężki krzyż, który w sumie nosi do dziś. Mnie brakowało pewnych relacji zarówno z matką jak i z bratem, ale od pewnego momentu zorientowałem się, że daje mi to niezależność i że mogę zagospodarować swoje życie na takich zasadach, na jakich chcę.

O swoim ojcu i zmaganiach całej rodziny z jego chorobą dwubiegunową, piszesz jednocześnie bez ogródek, bez sentymentalizmu, ale z drugiej strony z ogromną

wrażliwością, miłością, szacunkiem i czułością.

Nie mogłem napisać tego inaczej, bo mimo tej nienaturalnej w sumie sytuacji, miałem bardzo ciepłe dzieciństwo, wypełnione miłością, słowem „kocham”, także fizycznym okazywaniem tej czułości. Na początku nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tragizmu tej sytuacji. Jak piszę w tej książce, to był dla mnie chleb z masłem, czasami z dżemem, czasami z musztardą. Ale w zależności od wieku, przyjmowałem to w bardzo naturalny sposób, wchodziłem w rytm tej choroby, rozumiałem ją tak, jak można było ją rozumieć będąc dzieckiem.



Fot. Bogdan Frymorgen



Fot. Bogdan Frymorgen

Jak postrzegasz ojca?

Ja miałem dwóch ojców. Jak przychodził wyż, tak zwana mania, ojciec stawał się wynalazcą i szalonym racjonalizatorem, był postacią wręcz magiczną, jak z powieści Marqueza. Natomiast była też ta druga, znacznie trudniejsza odsłona, kiedy ojciec wpadał w depresję, zagłębiał się w stan takiej katatonii, że byliśmy przekonani, że umiera. Ale ponieważ czuwała nad nami,

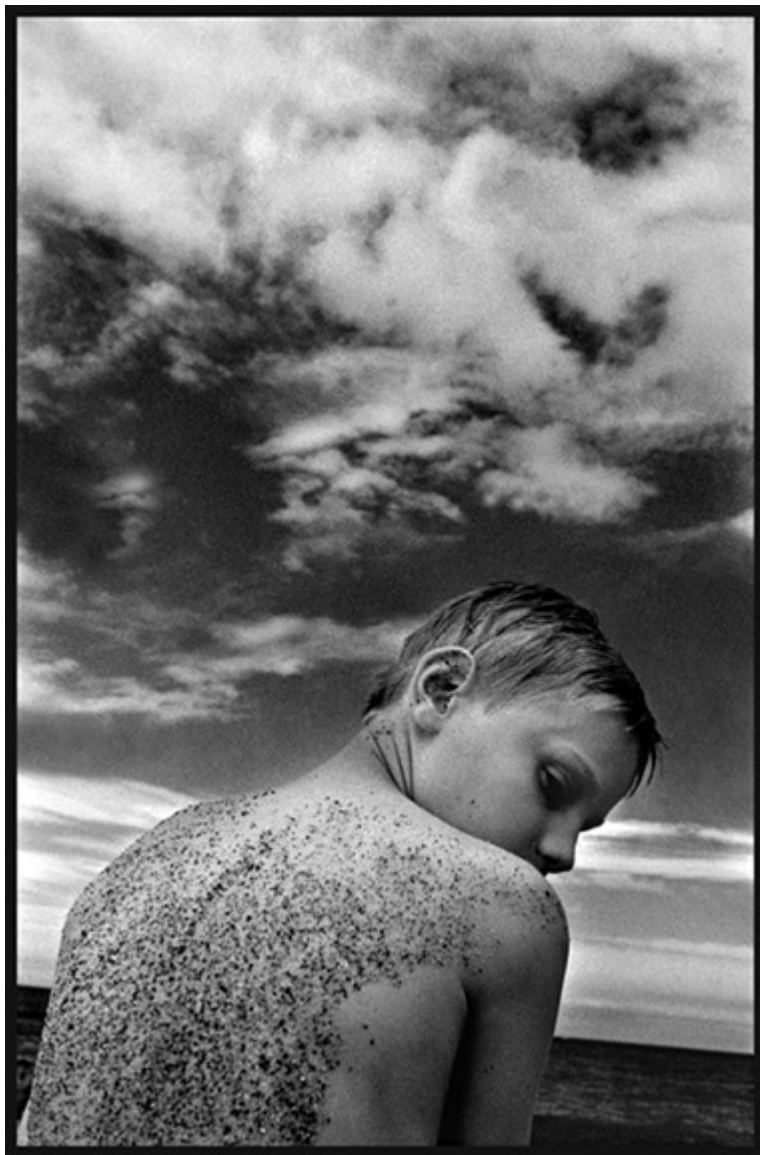
jak nazywam moją matkę, „Wielka Niedźwiedzica”, dostawałem w tym domu wszystko, co dziecko powinno dostać – ciepło, miłość, opiekę i bezpieczeństwo, w każdym razie ja zawsze czułem się bezpiecznie, bo rozumiałem ten język i wiedziałem, kiedy ta choroba przychodzi. Jak przy stole padało jakieś dziwne zdanie czy słowo, wystarczyła tylko wymiana spojrzeń i już wiedzieliśmy, że trzeba włączyć inny tryb. A ponieważ mieliśmy ten temat opanowany, bo przerabialiśmy go wielokrotnie, to już za którymś razem funkcjonowaliśmy jak szwajcarski zegarek. Każdy wiedział, co ma robić. Ja, na przykład, zawsze rozmawiałem z sanitariuszami. Prosiłem ich, żeby zostawiali kaftan bezpieczeństwa [w karetkce], bo na jego widok ojciec dostawał szału. W miarę dorastania, oczywiście rosło moje pojęcie i zrozumienie tej choroby. Zmieniało się też jej nazewnictwo, najpierw to była depresja maniakalna, potem, afektywna dwubiegunowa, potem znowu się pojawiło określenie cyklofrenia. To się zmieniało, ale choroba była ta sama.

Okazuje się, że na tę chorobę cierpiało albo cierpi wiele znanych osób, jak Robert Schumann, Gustaw Mahler, Edward Munch, Isaak Newton, Graham Greene, czy Frank Sinatra i że często kończy się śmiercią samobójczą, jak w przypadku Ernesta Hemingwaya, Vincenta van Gogha albo Virginii Woolf. Czy możliwe, że brak wsparcia do tego doprowadzał?

Ludzie, o których wspomniałaś byli niezwykle utalentowani, wrażliwi. Ta choroba lubi dotykać tego typu ludzi. Trzeba sobie jednak przede wszystkim zdać sprawę, że ta choroba może mieć różną amplitudę. Można z nią funkcjonować w miarę w normalny sposób, nie być obciążonym lekami psychotropowymi przez całe życie. Ale to prawda, że ludzie cierpiący na tę chorobę, zwłaszcza pozostawieni sami sobie w większości mają myśli samobójcze, bo jest to potworna choroba. Mój ojciec miał wsparcie w postaci rodziny – matki, nas i bezpośredniego środowiska. Ale nie miał na przykład wsparcia terapeutycznego, czegoś, co teraz jest bardziej popularne i dostępne. Nie wszyscy chorujący na tę chorobę mają rodzinę albo te rodziny się często rozpadają. Dzieci się odwracają, nie wiedzą, jak się z taką osobą porozumiewać, bo jeżeli się tego języka nie poznało i nie pozwoliło, żeby stał się częścią twojego DNA, to może być trudno. Ja zawsze czułem wewnętrznie, że jest to mój obowiązek – chociaż tego tak nie definiowałem – żeby być z ojcem i mu towarzyszyć. Ojciec zmarł w wieku, w którym teraz tę książkę opublikowałem i to jest przedziwnie wymowne.

W sposób naturalny pojawia się kwestia lęku odziedziczenia choroby dwubiegunowej. W książce piszesz, że mama wmawiała Tobie i Twojemu bratu, że tylko dziewczynkom może się to przydarzyć, co jest nieprawdą. Czy miałeś jakiś sposób, żeby „chronić” swoich synów?

Mama jest naprawdę kochaną osobą i nie wiem, czy zrobiła to z premedytacją, czy po prostu podpowiedział jej to jakiś pan profesor w Krakowie, dokąd jeździła z ojcem na konsultacje. Jeżeli słyszysz takie słowa przez całe życie to jesteś w stanie się zaprogramować. Nie powtarzałem takich rzeczy moim synom, ale jak byli już wystarczająco duzi, zacząłem z nimi rozmawiać o chorobie ojca w sposób bardzo otwarty. Ostrzegałem ich wtedy o wpływie narkotyków, bo chorobę psychiczną, do której ma się predyspozycje, można uaktywnić, nawet po zażyciu jednej dawki. Znam niestety ludzi, których to spotkało. Synowie chodzili wtedy do szkół średnich, a wiadomo co się w szkołach dzieje i tę rozmowę, jako tzw. odpowiedzialny rodzic musiałem przeprowadzić. I jeszcze jedna ważna rzecz – ja nie zachorowałem na tę chorobę i nigdy nie zachoruję (w tym wieku mogę mieć już taką pewność), ale jestem absolutnie świadom tego, że jestem w połowie stworzony z mojego ojca. Mam w sobie pewną nadwrażliwość i to na różnych poziomach, z tym, że wiem, na co tę nadwrażliwość skierować. Choroba ojca jest częścią mnie i nie jest to dla mnie absolutnie nic wstydliwego. W niej się wychowałem i dorastałem. Tą książką poniekąd żegnam mojego ojca.



Zdjęcie syna, wykorzystane między innymi do okładki powieści Pawła Huelle „Weiser Dawidek”, fot. Bogdan Frymorgen
Opisujesz niesamowite, przejmujące historie, a Twoje pisarstwo jest tak obrazowe, że byłby to fantastyczny materiał na scenariusz filmowy.

Nawet mój syn mi zaproponował, że zrobi film, ale jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym myśleć. Ta książka musi się odłożyć. Jestem na etapie takiej wewnętrznej pokory i chcę sobie tę książkę i to, co się wokół niej teraz dzieje spokojnie przeżyć. Przeżywam jej

różne odsłony – takie rozmowy, jak ta z Tobą, uwagi ludzi, których często w ogóle nie znam, a którzy do mnie piszą i dzielą się swoim życiem, co jest fantastyczne. Zostałem też ambasadorem III Kongresu Zdrowia Psychicznego.

No właśnie, jak do tego doszło?

To Kongres zwrócił się do mnie z taką prośbą. Pomyślałem sobie, dlaczego nie. Oczywiście sprawdziłem, czym Kongres się zajmuje, bo nigdy nie wchodzę w takie relacje w ciemno, ale to są naprawdę fantastyczni ludzie. Pracują przez cały rok, a raz na dwa lata [*Kongres odbył się w tym roku 7 czerwca – przyp. buz*] organizują spotkanie ludzi z różnych środowisk i rozmawiają o tym, w jaki sposób można wesprzeć ludzi chorujących psychicznie. To jest taka oddolna inicjatywa, której celem jest między innymi stworzenie środowiskowych centrów wsparcia dla osób chorych psychicznie, zwłaszcza na wsi czy w małych miasteczkach. Już są 33 takie centra, a oni chcą mieć 300. Ujęło mnie też to, że ludzie, którzy pracują przy tym Kongresie to są osoby, które otarły się o chorobę, albo same chorują. Moja książka stała się paszportem do tego, żeby mówić o kryzysach psychicznych z pewną dozą odpowiedzialności. Do moich obowiązków należy nagłaśnianie tej szczytnej inicjatywy, co sprawia mi dużą przyjemność i zaszczyt.

W jakiś sposób Twoja opowieść może pomóc innym

ludziom?

O chorobie psychicznej mówię wprost, nie czaruję, używam prostego języka. A o niej należy mówić, bo im częściej i szczerzej, bez uprzedzeń o niej mówimy, tym ludziom będzie łatwiej, także ludziom, którzy są w bezpośredniej bliskości ludzi chorych. Oczywiście ja piszę, jak to wyglądało w naszej rodzinie, ale taka choroba potrafi przewrócić życie do góry nogami. Natomiast odpowiednie wsparcie terapeutyczne, środowiskowe, również farmakologiczne (bo to też jest konieczne) umożliwiają człowiekowi w miarę normalnie przejść przez życie, mieć rodzinę, utrzymać pracę. Co więcej, pomagać innym, tak jak ludzie, zrzeszeni wokół Kongresu. Nie można tych ludzi spisać na straty, nie można ich wkładać do głębokiej piwnicy. Oni mają prawo funkcjonować normalnie, na ile ta nienormalność im na to pozwala.

Jeszcze ze spraw nazwijmy to warsztatowych - wyraźnie zajmujesz negatywne stanowisko w stosunku do Kościoła, ale z drugiej strony odniesienia religijne są w tej książce wszechobecne, a symbole religijne przyjmują konkretne kształty: „rycerzyki Chrystusa” nazwane też „barankami bożymi” które okazały się „baranami”, mamę nazwałeś „Matką Boską spod Beskidzia”, lekarzy „aniołami”. Dlaczego takie porównania?

Jak się rodziś na Beskidziu w rodzinie na wskroś katolickiej, to tak tkwisz w tej kulturze, że ona w rezultacie staje się częścią ciebie. Takie skojarzenia więc same się nasuwają. Nie należy tego języka wyrugować ze swojego życia. Duchowo oddaliłem się od instytucji Kościoła, od pojęcia boga i boskości i wracając do kościoła w mojej wsi Komorowice, nie czuję absolutnie żadnej duchowej więzi. Natomiast jak poczuje zapach kadzidła i posłucham organów wszystko zaczyna wibrować. Z tym, że to nie ma nic wspólnego np. z tajemnicą transfiguracji, czy świętymi sakramentami. Przeszedłem przez chrzest i bierzmowanie, natomiast ten związek w pewnym momencie, z takich czy innych względów się urwał, a ikonografia pozostała.

Nie był to absolutnie zarzut hipokryzji w stosunku do Ciebie. Dla mnie te odnośniki pokazują alternatywną interpretację pewnych konceptów czy symboli, których znaczenie zostało nam kiedyś narzucone i wpojone. Pokazujesz ich żywy i współczesny wymiar.

Nie wiem, czy poszedłbym aż tak daleko. Ja po prostu opisuję mój związek z Kościołem, od tych pierwszych kontaktów chodzenia do kościoła, kiedy fizycznie mdlałem, po zerwanie z nim w momencie, kiedy zorientowałem się, że nie jest w stanie zapewnić mi pewnej karmy, której, jako dorastający chłopak potrzebowałem. Śmiem twierdzić, że w tej książce jest dużo duchowości, takiego szerszego spojrzenia właśnie na duchowe

potrzeby młodego człowieka, które można zaspokoić poza tą instytucją. A przy tym przejść przez życie przestrzegając pewnego kanonu zasad etycznych i moralnych i przekazując je swoim dzieciom. Tak też było w mojej sytuacji. Natomiast na pewno nie chciałem się wymądrzać. To jest moja subiektywna pamięć, a pamięć nie jest prawdą.

Katarzyna Szczerbowska w rozmowie z Tobą zwróciła uwagę na muzyczne walory Twojego pisarstwa i na to, że świetnie czyta się tę książkę na głos. Niedawno ogłosiłeś, że na przełomie przyszłego roku będziesz ją czytał w radiu RMF FM.

Ta książka jest muzyczna, bo ja mam w sobie dużo muzyki. Znamy się od dawna, to wiesz, że zawsze interesowałem się muzyką i żyję nią na co dzień, od rana do wieczora. W związku z tym rytm tej książki jest muzyczny. Tam są wyraźnie takty, tam jest *piano* i *forte*, czasami jest orkiestra, czasami samotny instrument.

Czy myślisz o jej przetłumaczeniu?

Znajomy tłumacz zaproponował przymierzyć się do tego. Powiedziałem, przetłumacz parę rozdziałów i zobaczymy. Sam nigdy w życiu tej książki nie przetłumaczę, bo ona się zrodziła w języku polskim i chcę ją zamknąć w mojej polskości. Skoro o tym

mówię – tutaj mieszkam, tutaj mam rodzinę i tutaj pracuję, kocham Londyn, ale wszystko co robię kreatywnego, robię w Polsce i dla Polski, a tutaj jestem pod tym względem osobą zupełnie nieznaną. Często bywam w Polsce, jestem zaangażowany w polskie życie na wielu poziomach i czuję się pełnoprawnym i pełnokrwistym obywatelem, który tylko przypadkiem mieszka w Londynie. Pozwalam sobie na taką iluzję, że funkcjonuję w dwóch przestrzeniach.

Fotografie pochodzą z książki „Okruchy większej całości”.

W drugiej rozmowie, która ukazała się w piątek, 2 lipca 2021 r. Bogdan Frymorgen opowie o fotografii, muzyce i innych fascynacjach. Rozmowy prowadzi Bożena U. Zaremba.

*



**„Okruchy większej całości” (2021) są dostępne (z
możliwością wysyłki zagranicznej) na stronie wydawnictwa
Austeria:**

<https://austeria.pl/produkt/okruchy-wiekszej-calosci/>.

**Zapraszamy do komentowania książki i śledzenia poczynąń
autora na Facebooku, na stronie „Frymopisanie”.**

Rozmowa 2:

Wychylić się ponad parapet

Wersja angielska:

„Memory Is Not the Truth”

Święty Maksymilian
Kolbe – towarzysz
teatralnej i poetyckiej

podróży

Z prof. Kazimierzem Braunem rozmawia - ks. prof. dr hab. Piotr Tomasik

28 maja 2021 roku minęło 80 lat od uwięzienia w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbe, gwardiana Niepokalanowa - franciszkańskiego klasztoru i wielkiego domu wydawniczego. Z tej okazji w Wydawnictwie Franciszkanów Bratni Zew w Krakowie został wydany tom poezji Kazimierza Brauna pt. „Pieśni świętego Maksymiliana i inne wiersze”.



Ojciec Maksymilina Kolbe, fot. Dennis Jarvis, Halifax, Kanada, [wikimedia commons](#)

Benedykt XVI w 2010 roku, w trakcie audiencji generalnej powiedział tak: „Każdy z nas ma w swoim życiu drogie osoby, które są nam szczególnie bliskie; niektóre z nich są już w domu Ojca, inne idą jeszcze z nami drogą życia: to nasi rodzice, krewni, wychowawcy, osoby, którym wyświadczyliśmy dobro, lub które nam wyświadczyły dobro; wiemy, że na te osoby możemy liczyć. Jednakże ważne jest również, byśmy mieli „towarzyszy podróży” na drodze naszego życia chrześcijańskiego. Mam tu na myśli kierownika duchowego, spowiednika, osoby, z którymi można dzielić doświadczenie wiary, ale myślę także o

Dziewicy Maryi i o świętych. Każdy powinien wybrać sobie ulubionego świętego, który będzie mu szczególnie bliski, w modlitwie i wstawiennictwie, a także, którego będzie naśladował”. Czy Pańskim towarzyszem podróży jest święty Maksymilian Maria Kolbe, skoro napisał Pan o nim sztukę teatralną, a ten tom zatytułował na jego cześć? Na podstawie jakich źródeł zdobywał Pan wiedzę na temat tego Świętego?

To jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia, a także długa, wyboista droga. Oczywiście, od dzieciństwa wiedziałem, że był taki zakonnik, który w Auschwitz poszedł na śmierć zamiast innego więźnia. Wiedziałem, że w 1971 r. został on beatyfikowany. I tak się złożyło, że na jesieni 1981 roku byłem w Japonii. Korzystając z Nagrody Fundacji Japońskiej mogłem ułożyć sobie plan podróży po tym kraju. Wytuczając go poprosiłem, abym mógł znaleźć się Nagasaki i odwiedzić klasztor, który wybudował tam o. Maksymilian Kolbe. Byłem tam. Chodziłem po korytarzach i ścieżkach wydeptanych przez niego. Poznałem brata Sergiusza, jednego z uczniów i współpracowników ówczesnego gwardiana, który hojnie obdarzył mnie swym czasem i opowiadaniem, oprowadził mnie po japońskim Niepokalanowie – Mugenzai no Sono: kościół, klasztor, szkoła, kapliczka Niepokalanej na górze Hiko. Brat Sergiusz dał mi też wiele materiałów. Zacząłem się nosić z myślą pisaną o ojcu Maksymilianie. Zaraz po moim powrocie do kraju

generał Jaruzelski ogłosił stan wojenny. Chwila dziejowa narzuciła inne tematy, prace, działania.

Ale tak się znów złożyło, że w końcu września 1982 roku byłem z moim Teatrem Współczesnym w Irlandii, gdzie graliśmy „Annę Livie” według Jamesa Joyce’a, na festiwalu z okazji stulecia jego urodzin. I tam, w Irlandzkim Teatrze Narodowym, The Abbey Theatre, ku mojemu zdziwieniu, była na afiszu sztuka pod tytułem „Kolbe”. Poszedłem na nią. Autorem był ksiądz-poeta Desmond Forristal. Dramat był epicką opowieścią o męczeństwie i śmierci o. Maksymiliana Kolbe w piekle Auschwitz. Teatr zbudował w oparciu o ten utwór wielką inscenizację z bardzo liczną obsadą. Widowisko o polskim świętym w Dublinie ogromnie mnie wzruszyło, choć sama sztuka nie bardzo przekonała. Zamówiłem jednak jej tłumaczenie u Krzysztofa Romanowskiego, filmowca pracującego w Dublinie.

Kanonizacja Maksymiliana Kolbe, dokonana przez Papieża Jana Pawła II 10 października 1982 roku była mocnym strumieniem światła w ciemnościach stanu wojennego. Takie wyraziste przypomnienie niezłomnego Polaka, było ważnym posłaniem dla wszystkich rodaków (stan wojenny był już formalnie zniesiony, ale trwał totalitarny, represyjny system). Dla mnie był to kolejny impuls, w pewien sposób kierujący w stronę Maksymiliana, już wtedy świętego. Pojechałem do Niepokalanowa prosić go o opiekę w pisaniu o nim. Opublikowałem na jego temat dwa

artykuły. Stały się one rozdziałami w książce „Nadmiar teatru” (Czytelnik, 1984). Otrzymałem od Romanowskiego tłumaczenie tej irlandzkiej sztuki, „Kolbe”. Jej horyzont przy uważnej lekturze wydał mi się jakoś zbyt wąski wobec rozległości tych horyzontów, które święty obejmował i otwierał. Nie zdecydowałem się na realizację. A przy tym sam uświadomiłem sobie, że jeszcze za mało wiem o świętym Maksymilianie. Sprawa została odłożona.

Potem porwał mnie wir wydarzeń całkowicie odmieniających moje życie i pracę, a także życie mojej rodziny: wyrzucenie z teatru, jako kara reżimu komunistycznego, za działalność opozycyjną (1985); propozycja pracy w USA przysłana przez solidaryzujących się ze mną amerykańskich kolegów; kolejne odmowy wydania mi paszportu i otrzymanie go po kolejnych odwołaniach; wyjazd do USA (1985); praca na amerykańskich uniwersytetach i w amerykańskich teatrach; przyjazd żony Zofii i dwójki dzieci, Grzegorza i Justyny, także po odmowie paszportów i kolejnych odwołaniach (nasza najstarsza, Monika, miała już swoje życie w Polsce). Potem – próby powrotu do kraju. Nieudane (to już zupełnie inna historia). Osiadłem w Ameryce.

Właściwie nieco przypadkowa wymiana listów elektronicznych z ojcem doktorem Piotrem Cuberem na temat św. Maksymiliana nakazała mi do niego wrócić. Z o. Piotrem znaliśmy się od czasu jego pobytu i pracy we franciszkańskiej rozgłośni radiowej

„Godzina Różańcowa” w Buffalo w 2001 r. Pozostaliśmy w kontakcie. Przesyłaliśmy sobie życzenia świąteczne. W 2009 roku życzliwie i miło zachęcił mnie do podjęcia próby napisania dramatu o świętym, aby przypomnieć go dwa lata później, na 70. rocznicę jego śmierci. W wyniku zachęty o. Piotra i dzięki zaproszeniu Krakowskiej Prowincji Ojców Franciszkanów Konwentualnych, znalazłem się na cały miesiąc w klasztorze w Harmężach pod Oświęcimiem. Mogłem wejść w rytm franciszkańskiego życia i modlitwy, odbyć wiele ciekawych, inspirujących rozmów i odwiedzić wiele miejsc, w których święty zostawił swoje ślady – przede wszystkim w obozie Auschwitz, a także w Krakowie, Kalwarii Pałacowskiej, Sanoku i, oczywiście, w Niepokalanowie. Mogłem medytować tam gdzie czynił to święty.

Otrzymałem wiele informacji, wiele książek. To wszystko pozwoliło mi podjąć ponownie próbę stworzenia dramatu o św. Maksymilianie. Powstał „Maximilianus”, a potem jeszcze monodram „Cela ojca Maksymiliana” i dramat „Mój syn, Maksymilian”. Wszystkie zostały wydane przez Wydawnictwo Franciszkańskie Bratni Zew w 2010 roku. Z kolei w 2011 r. wyreżyserowałem w tarnowskim Teatrze im. L. Solskiego „Celę ojca Maksymiliana”. Sztuka ta została także wystawiona po angielsku w amerykańskim Buffalo. We wszystkich tych sztukach epilogiem jest „Męka świętego Maksymiliana”, która może też funkcjonować samodzielnie. Była ona odczytywana przez trzech lektorów – tak jak czyta się Mękę Jezusa Chrystusa w Wielkim

Tygodniu – w kościołach na terenie Polski, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych. Pragnąłem nadal uczyć się od świętego, być jakoś blisko niego. Z tego pragnienia powstały otwierające ten tom – „Pieśni świętego Maksymiliana”. I tak jak ksiądz mówi – stał się on moim „towarzyszem podróży” w ostatnich latach. Jego „Regulamin życia” jest zarówno drogowskazem, jak też przypomnieniem, jak wiele mi brakuje do sprostania jego wymaganiom.



Ojciec Maksymilian Kolbe, 1936 r., fot. wikimedia commons

W części tomu, zatytułowanej „Naśladowania”, umieścił Pan kilka wierszy o różnych świętych. Jakie było kryterium doboru?

To były refleksje po lekturach pism różnych świętych. Każda z tych lektur zawierała ogromne bogactwo myśli, wskazań, porad duchowych. Staralem się znaleźć krótką formę poetycką, niejako podsumowującą, która by te lektury, a także historie życia tych świętych, otwierała dla mnie samego i dla innych – dla czytelników.

Wśród świętych, do których zbliżamy się przez Pańskie wiersze, jest także Augustyn. W szczególnym kontekście – teatru. Jest Pan reżyserem, teatrologiem, a pisze Pan o Nim: „Od chwili nawrócenia / odwróciłeś się od teatru / zerwałeś ze zgubnym nałogiem teatromanii”. Dlaczego tak? Pytam o to, bo dziś wielu ludzi w Polsce unika teatru, zwłaszcza boją się tam prowadzić swoje dzieci ze względu na obsceniczność i bezbożność spektakli. Jaki zatem powinien być teatr?

To pytanie – „jaki powinien być teatr?” – zadawałem sobie od czasu, kiedy zacząłem ku niemu zmierzać. Towarzyszyło mi przez wszystkie lata mojej praktycznej pracy w teatrze. „Teatr ile wiemy, jest atrium spraw niebieskich” – te słowa Cypriana Norwida przeczytałem i zapamiętałem, jeszcze przed podjęciem

studiów reżyserii. Była to wizja teatru, który poprzez to, co na scenie widać, co ze sceny słyhać, poprzez całą materię i maszynę widowiska – daje wgląd w niebo. Szczególny impuls nakierowujący do takiego pojmowania i uprawiania teatru otrzymałem już jako student reżyserii od – wtedy – księdza biskupa, profesora KUL-u, Karola Wojtyły i mentora grupy „Święta Lipka” do której należałem. Gdy znalazłem się zimą 1960 roku w Krakowie, upoważniło mnie to do prośby o rozmowę z „Wujem”, jak go nazywaliśmy. Miałem z nim dwa bardzo ważne dla mnie wieczorne, przeciągające się w noc, spotkania. Na koniec pierwszego polecił mi napisać referat o moralnych problemach, z jakimi konfrontuje się reżyser w pracy teatralnej. W czasie drugiego omówił ze mną, po profesorsku, złożony mu referat. Potem odłożył na bok maszynopis i zadał mi kilka pytań, zaznaczając, że nie oczekuje ode mnie w tej chwili odpowiedzi, a raczej, prosi, abym te jego pytania przemyślał. A były to pytania podstawowe dla człowieka teatru: „Jak będziesz łączył wiarę ze sztuką w swej teatralnej robocie? Jak połączysz dążenie do najwyższych wartości estetycznych i znajdowanie dla nich wyrazu w przedstawieniach z dążeniem do przekazywania najważniejszych wartości etycznych, tych, które wynikają z twojej wiary? Jak będziesz łączył w twórczości teatralnej cielesność i seksualność aktorów oraz granych przez nich postaci, z ich duchowością? Jak będziesz prowadził widzów ku krainie ducha przez materialność i zmysłowość teatru? I, rozważ, przygotuj się już teraz – co wybierzesz w chwili próby: karierę

czy sumienie? Świat czy Boga?”.

Biskup Wojtyła kierował mnie w ten sposób w rejony teatru całkowicie, wręcz radykalnie odmienne od tych, ku którym prowadziły mnie studia reżyserii; o których uczyłem się z książek i po których poruszałem się uczestnicząc w życiu teatralnym.

Gdy rozważałem jego nauczanie, zaczęło mi się ono stopniowo rymować z tymi rozdziałami historii, w których teatr starał się ewangelizować i prostą drogą prowadzić ludzi ku niebu – jak europejski teatr średniowieczny, hiszpański teatr renesansowy, teatr wpisany w dramaty Paula Claudela, misteryjne widowiska Jacques’a Copeau, a wreszcie Teatr Rapsodyczny Mieczysława Kotlarczyka, w którym Karol Wojtyła był aktorem i z którego wyruszył ku kapłaństwu.

Ta nocna rozmowa z nim ukazała mi teatr w nowym świetle. Zaostrzyła kontrast pomiędzy tym, co wtedy – a i wielokrotnie później, całymi latami – sam w teatrze robiłem, a tym teatrem, ku któremu warto było, i trzeba było, zmierzać. I to jest moja odpowiedź na pytanie Księdza. Teatr taki, jak go widział Norwid, taki jaki go uprawiał Wojtyła, winien ludzi prowadzić do Boga – zarówno tych, którzy teatr na co dzień tworzą, na więc ludzi teatru, jak i tych, do których on się zwraca, a więc widzów.



Święci męczennicy franciszkańscy – malowidło na ołtarzu polowym, znajdującym się obok bazyliki w Niepokalanowie., fot. [wikimedia commons](#)

Pytanie Księdza kieruje mnie ku refleksji na temat całej mojej, już tak długiej, drogi poprzez teatr. Od fascynacji do uświadomienia sobie jego wspaniałych, dobrych potencji, ale także do rozpoznania możliwości szerzenia przez teatr zła, czego mamy tyle dowodów dzisiaj. Wspomniał Ksiądz o tym: wulgarny, obsceniczny język, po prostu nieprzyzwoite obrazy i działania, nawet świętokradztwo. W ocenianiu teatru z moralnego punktu widzenia, w uświadomieniu sobie jak teatr może budować ludzką duchowość, a także ją degradować, dopomógł mi bardzo właśnie święty Augustyn. W swoich „Wyznaniach” opowiada on o swojej fascynacji teatrem i wyzwoleniu się z niej. Pisałem:

Bardzo mnie pociągały

widowiska teatralne

wyznaje święty Augustyn

Uczestniczyłem w grzesznych

radościach spektakli

oskarża się gorzko

Podziwiałem występnych

kochanków na scenie

bije się w piersi

Fikcja sceny dzieliła mnie

od prawdy Boga

wspomina gorzko.

Trzeba przypomnieć, że w jego czasie (II połowa IV oraz

pierwsze lata wieku V) teatr rzymski był już w stanie upadku, nastawiony właściwie wyłącznie na rozrywkę, wyuzdany, wulgarny, posługiwał się okrucieństwem. Ileż analogii z ogromnymi obszarami teatru współczesnego. Więc Augustyn odwrócił się od teatru. Ja nigdy nie chciałem teatru opuścić. Latami, mozolnie uczyłem się jak ukierunkowywać go ku dobru, dawać teatrem świadectwo swojej, acz tak słabej wiary, pomagać innym drogę wiary odnajdywać na bezdrożach współczesnej kultury. Codziennie powtarzam przy tym modlitwę Apostołów (Łk 17, 4): „Panie, przymnóż nam wiary”. W zakończeniu tego wiersza napisałem:

Święty Augustynie

bywałeś w teatrze gościem

mogłeś przestać teatr nawiedzać jak dom grzesznych schadzek

ja byłem teatru domownikiem

gdzież się wyprowadzić?

A przy tym teatr to stary dom rodzinny

jak w domu Ojca jest w nim mieszkań wiele
nie trzeba go opuszczać niszczyć palić burzyć
może być świętym hospicjum choć bywał motelem
może dać dach nad głową tak wielu bezdomnym.

Święty Augustynie

za twoją przyczyną zrozumiałem zbyt późno

wierzę nie za późno

że nadal w nim mieszkając

muszę mój dom posprzątać

ubielić czysto ubrać tatarakiem

jak na Zielone Świątki

a samemu zdjąć czarną maskę Arlekina

jego kostium pstrokaty zamienić na białą

szatę godową.

Dostojewski napisał: „Piękno zbawi świat”. Piękno jako droga dojścia do Boga. Tę kwestię podkreśla się dość mocno ostatnio w dokumentach katechetycznych Kościoła. Piękno, sztuka, poezja. Co by Pan poradził katechetom jako artysta?

Wracanie do źródeł. Nakierowywanie uwagi uczących się na tradycję. A gdyby tematyka kursu, czy zajęć obejmowała sztukę, to sugerowałbym podkreślenie opiekuńczej roli Kościoła nad sztuką – tu warto by przypomnieć architekturę i wszystkie sztuki piękne, z ogromną rolą witrażu w ewangelizacji; dalej: muzykę sakralną, literaturę religijną, a wreszcie i teatr, który po czterech wiekach nieobecności w kulturze Europy (wieki V-IX) odrodził się właśnie w Kościele. Najpierw jako widowisko wielkanocne, potem pasyjne. A pierwsze „Jasełka” przygotował nie kto inny tylko święty Franciszek w 1223 roku. Przymierze religii i sztuki, wiary i teatru, w porywający sposób manifestowało się w widowiskach „Księcia Niezłomnego”, granych w plenerze dla tysięcy przez Juliusza Osterwę. Umacniało prace „teatru kościelnego” tworzonego poza cenzurą w czasach stanu wojennego.

Kilkanaście lat temu pisałem podręczniki do religii dla

gimnazjum. Umieściłem w nich kilka Pańskich wierszy, m. in. „Szymona Cyrenejczyka” oraz „Rozważania w Nazarecie”, „Według Ignacego z Loyoli”. Były czytane przez młodych ludzi, skłaniały do refleksji. Myślę, że wtajemniczały gimnazjalistów w to, czym jest historia zbawienia, Kościół. Który z innych wierszy proponowałby Pan młodzieży dzisiaj?

Młodym, ale już dorastającym, podsunąłbym mój nowy cykl, „Zamyślenia”, które niejako towarzyszą modlitwie brewiarzowej. Mogłyby może zachęcić do podjęcia takiej codziennej praktyki.

Wiele jeszcze tematów nasuwa ten tom Pana wierszy. Pozostawmy je czytelnikom. Dziękuję bardzo za rozmowę.

I ja dziękuję z całego serca. Bóg zapłać!

*

*Wywiad ukazał się na stronie Polonia Christiana:
<https://pch24.pl/>*

**Muzeum w Niepokalanowie, poświęcone o.
Maksymilianowi, otwarte w 1998 r.**







Fotografie z Muzeum w Niepokalanowie pochodzą z wikimedia commons

Zobacz też:

Pieśni Świętego Maksymiliana

Ingrid Bergman – opowieść rodzinna

**Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki o
wielkiej hollywoodzkiej aktorce - rozmawia Joanna
Sokołowska-Gwizdka.**



Ingrid Bergman, fotografia z dedykacją: TO NORMAN WITH MUCH LOVE, 1957 r., fot. arch. A.Z-B

W Twoim domu zachowała się korespondencja Ingrid Bergman z Twoim mężem - Normanem Boehmem. Jakie więzy pokrewieństwa ich łączyły?

Ojciec Ingrid – Justus, i babcia Normana – Blenda byli rodzeństwem. Zachowały się listy pisane przez Ingrid do Normana, do jego ojca, i do jego babci. Jest ich w sumie czterdzieści, wszystkie w języku angielskim.

Zanim postanowiłaś, że opublikujesz książkę na podstawie tej korespondencji, minęło 20 lat. Powiedz dlaczego był to dla Ciebie trudny temat?

Odkładałam napisanie książki „na później”. Nie chciałam – niebawem po wyjściu za mąż – pokazać – pochwalić się jakby – że takie ładne mam koneksje. Chciałam także dojrzeć do tego tematu, dowiedzieć się więcej. Przeczytałam chyba wszystkie książki na temat wielkiej aktorki, a jest ich niemało. Posiadam w domu:

*John Russell Taylor: “Ingrid Bergman” (St. Martin’s Press NY 1983);

*Laurence Leamer “As Time Goes by. The Life if Ingrid Bergman” (Harper and Row Publushers, New York 1986);

*Donald Spoto: Ingrid Bergman” (Harper Collins Publishers, New York 1997); Scott Eyman “Movie Icons –Bergman” (Taschen, Imprint 2009);

*Charlotte Chandler „Ingrid Bergman. A personal biography” (Simon and Schuster, 2007);

Na jednej z książek Norman napisał, jak ceni i cieszy się, że piszę o jego kuzynce:

4 August 2010

My Dearest Aleksandra,

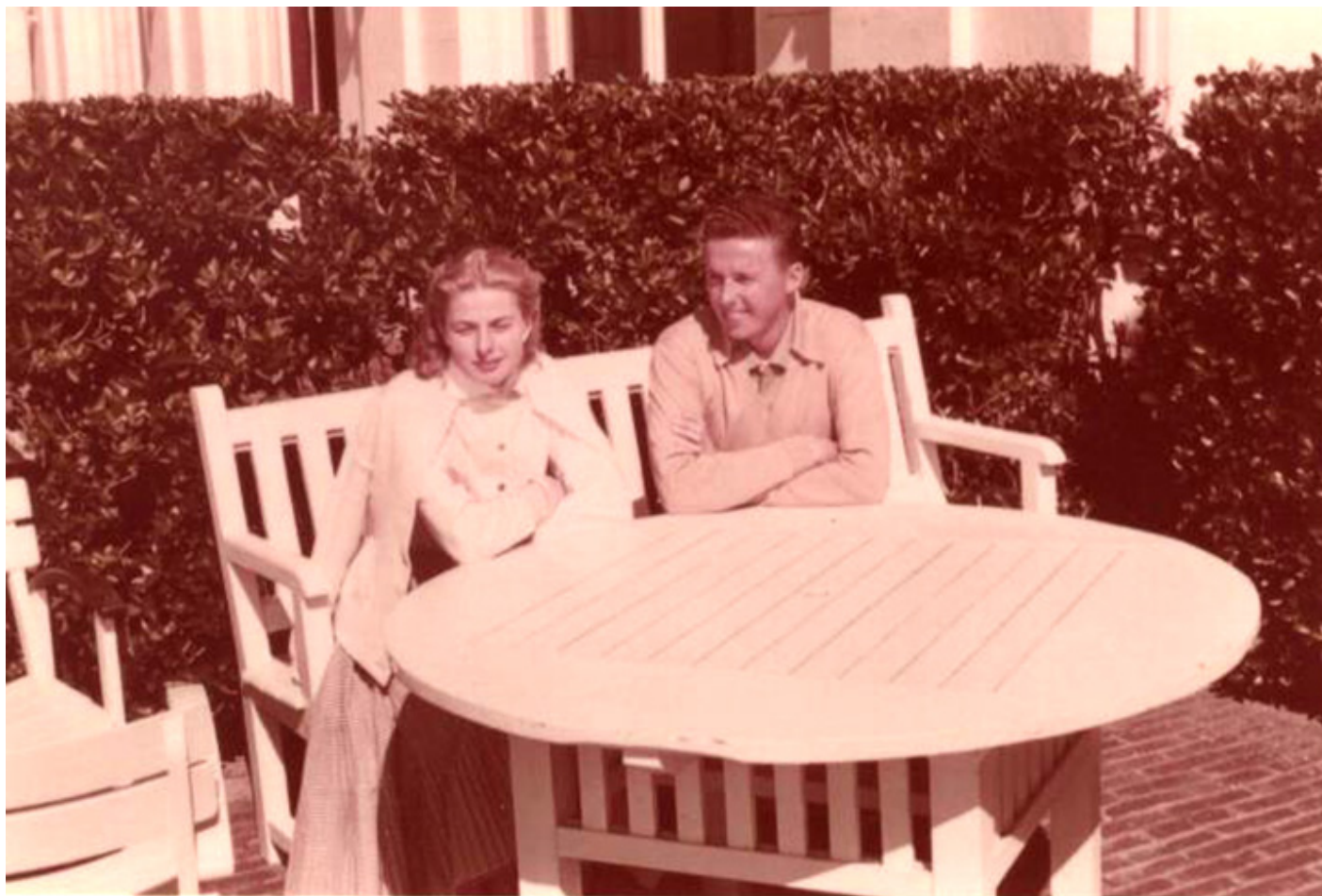
I sincerely hope you will find another book about Ingrid Bergman useful for your writing project. That you have undertaken to write about her relationship with my family is most gratifying, and I am very appreciative.

My love forever

Norman

Czas płynął, czytałam, ale przede wszystkim – słuchałam Normana opowieści o słynnej utalentowanej kuzynce, opowieści najpiękniejszej, bo opowiadał z wielką sympatią i szacunkiem.

Z założenia – chciałam napisać opowieść rodzinną, bez sensacji; pokazać piękną kobietę, wielką aktorkę, interesującego człowieka.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Deauville, Francja 1956 r., fot. arch. A.Z-B

Kiedy książka się ukazała?

Książka „Ingrid Bergman – prywatnie” ukazała się najpierw w Polsce, w wydawnictwie Prószyński i S-ka w 2013 roku. W tym samym roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych pt. „Ingrid Bergman and Her American Relatives” (2013).

We wstępie do książki Norman Boehm napisał, cytując tłumaczenie:

cieszę się, że moja żona Aleksandra napisała o Ingrid Bergman i jej związkach z rodziną Boehmów. Ta opowieść pokazuje piękną i wybitną aktorkę, która poza tym, że Bóg dał jej talent i urodę, był również pełna ciepła, dobroci, współczucia, oddania, serdeczności, entuzjazmu....by wymienić tylko kilka jej cech. Mam nadzieję, że czytelnicy tej książki podzielą moje i Aleksandry serdeczne uczucia do Ingrid Bergman, którą miałem szczęście znać osobiście.

W książce jest zamieszczonych wiele wypowiedzi na jej temat, opowieści, anegdoty, dzięki czemu czytelnik ma szansę spojrzeć na gwiazdę ekranu z innej strony. Jak mogłabyś podsumować, kim Ingrid Bergman była dla Normana?

Jak Norman opowiadał – była dla niego niezwykle ciepłą, serdeczną. Był dumny, że się widywali, przyjaźnili. Miał wiele szacunku i miłości do swojej kuzynki. Ogólnie – moja książka też jest serdeczna, rodzinna. Nie powtarzałam plotek, które przytaczane są niemal w każdej książce o wielkiej aktorce.

Dostała trzy Oscary – aktorką była wybitną. Jako człowiek – przystępna i naturalna. Gdy zaczęła grywać w filmach postanowiono ją pokazywać jako naturalną, bez upiększających zabiegów, wchodziła w lata także naturalnie.

Oprócz opowieści Normana i zamieszczonych listów, w książce jawi się nie tylko obraz pięknej kobiety i utalentowanej aktorki, ale uchylasz też rąbka jej prywatnego życia. Dowiadujemy się, że była wysoka, co czasem przeszkadzało w rolach, gdy np. musiała grać z niższymi mężczyznami.

Norman opowiadał, że gdy oboje tańczyli w Deauville, była jego wzrostu, a był wysokim mężczyzną. W swojej książce autobiograficznej: „Ingrid Bergman. My story” (autorzy: Ingrid Bergman i Alan Burgess, Delacorte Press, New York 1980) Ingrid pisze, że często chodziła na ugiętych kolanach, gdy jej partnerzy filmowi byli niżsi, a nie chciano tego pokazywać. Umieszczano także specjalną platformę dla aktora, aby Ingrid – stojąca na podłodze sprawiała wrażenie niższej.



Ingrid Bergman i Norman Boehm, Londyn 1982 r., fot. arch. A.Z-B

W ciąg biograficzny wplecione są role filmowe i stopnie kariery. Czy Ingrid Bergman, tak jak publiczność, też uważała „Casablancę” za najważniejszy film z jej udziałem?

Ingrid ceniła takie filmy z jej udziałem jak: „Joanna D’Arc”, „The Bells of St. Mary’s”, „Anastazja”. „Casablanca” była i jest odbierana przez innych jako jej najwspanialszy film. Napisała w autobiografii, że nagrane były dwa zakończenia. Długo nie wiedzieli, które zakończenie wybiorą. – Czy Ilsa odleci

samolotem z mężem, czy zostanie. Jest piękna końcowa scena – kiedy Claude Rains (Paul Hendreid) i Bogie (Humphrey Bogart) odchodzą we mgle, mówiąc słynne zdanie, „Louis, myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni”.

Wkrótce po „Casablance” otrzymała rolę w „Komu bije dzwon” – wysoka Szwedka zagrała hiszpańską chłopkę. Bergman była chwalona, że nie pokazuje uczuć, że widzowie widzą w niej to, co chcą widzieć.

Napisała do ciebie córka Ingrid Bergman - Isabella Rossellini. Jak skomentowała książkę o swojej matce?

Napisała, że się bardzo wzruszyła, że zawsze tak się dzieje, gdy po latach czyta o matce. Przekazała materiały na temat Ingrid do archiwum na amerykański uniwersytet Wesleyan (Middletown, Connecticut). Prosiła, bym przekazała tam kolekcję listów Ingrid do Normana babki, ojca i do niego.

Pia Lindstrom, pierwsza córka Ingrid (z małżeństwa z Petter Lindstrom), wyraziła zgodę na druk listów matki (*trzeba uzyskać zgodę, takie obowiązuje prawo autorskie*).

Książka się kończy refleksją, że obojętnie ile mamy lat, lubimy opowieści o miłości i sławie.

Takie nostalgiczne napisałam zakończenie... Uważam, że chcemy oglądać filmy, czytać książki o miłości, niezależnie od czasu, który mija. Takie opowieści są jak piękne bajki.

Norman do końca życia powielał adres Ingrid w nowych notesach. Nie chciał go wykreślać. Jakby chciał zatrzymać czas.

*

Okładki książki w dwóch wersjach językowych



ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

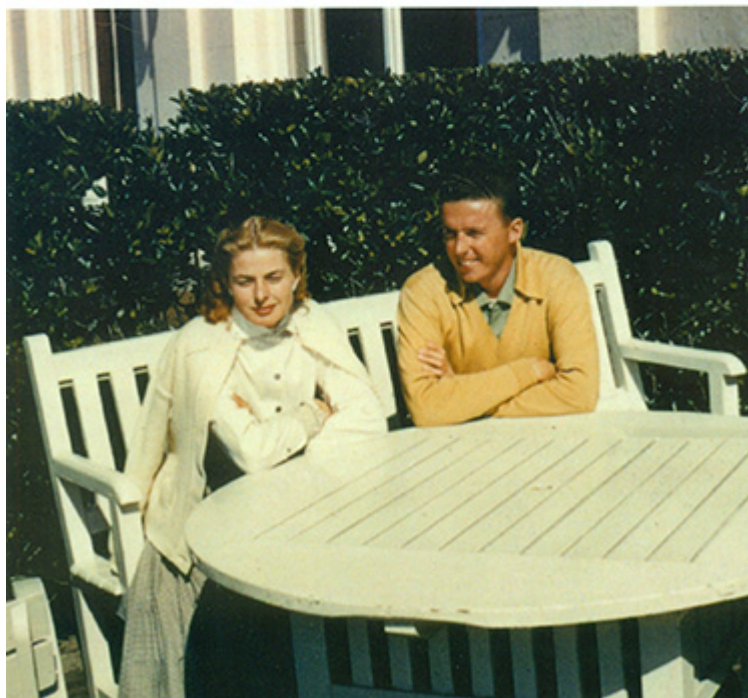
Ingrid Bergman

prywatnie

Prószyński i S-ka

INGRID BERGMAN AND HER AMERICAN RELATIVES

ALEKSANDRA ZIOLKOWSKA-BOEHM



Od redakcji:

**Wybrane recenzje książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm
„Ingrid Bergman - prywatnie”.**

Niezwykajna biografia

(...) Po książkę Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm “Ingrid Bergman

prywatnie” sięgnąłem głównie ze względu na jej autorkę, której karierę pisarską śledzę od dawna. Nie jest to jednak zwykła książka. Wskazuje na to nie tylko wytworna okładka, „kapiąca złoceniami”. Książka o Ingrid Bergman powstała bowiem z miłości do Normana i dla niego, męża pani Aleksandry. (...) Pierwszy raz Norman spotkał ciotkę Ingrid w domu swych dziadków – Carla Adalberta i Blendy Boehmów, w małym miasteczku Washington w stanie New Jersey. Była to wówczas pierwsza wizyta szwedzkiej aktorki w USA, kiedy zagrała na Broadwayu rolę Julii w sztuce Ferencza Molnara „Liliom”. Miała wtedy 25 lat i pojawiła się w towarzystwie swej dwuletniej córeczki Pii. Zachwycała wszystkich jasnością uśmiechu i swobodną naturalnością – taką ją zapamiętał Norman. Kolejne jego spotkania z Ingrid Bergman nastąpiły w latach 60., u szczytu jej kariery. Norman pracował wówczas na Bliskim Wschodzie i w drodze do lub z USA spotykał się z nią w Europie – Rzym, Paryż i Londyn. (...)

Już po kilku stronach pozwoliłem się ponieść opowieści, dałem się wciągnąć w zaczarowany krąg pięknej Ingrid. Kiedy w 1982 roku Ingrid Bergman kończyła swą ziemską wędrówkę, Aleksandra Ziółkowska przebywała w Toronto, w Kanadzie. Żoną Normana została w 1990 r., i dopiero wtedy do jej życia wkroczyły towarzyszące Normanowi wspomnienia o pięknej ciotce Ingrid. Były to opowieści o uroczych spotkaniach z aktorką oraz bezcenne pamiątki w postaci fotografii (oglądamy co

ciekawsze), listow (faksimile niektórych znajdziemy w książce) czy oryginalnego plakatu z kultowego filmu „Casablanka” oraz biografii aktorki napisanej wspólnie z Alanem Burgessem „Ingrid Bergman. My Story” z bezcenną dedykacją: „To Norman with good luck, Fondly, Ingrid. October 1980” (Dla Normana z życzeniami szczęścia. Czule, Ingrid, październik 1980) (...)

Książka, dedykowana przez panią Aleksandrę Normanowi, pokazuje normalne, rodzinne życie aktorki, dla którego tylko tłem jest jej praca artystyczna. Natomiast jej miłosne fascynacje stają się tylko inspiracją i usprawiedliwieniem dla jej artystycznej – scenicznej i filmowej – pracy aktorskiej. (...)

**Niezwykajna biografia, Janusz Paluch, KRAKÓW,
październik 2013 r.**

Kuzynka Ingrid

(...) Jak to się stało, że pośród bohaterów książek Ziółkowskiej-Boehm, tych „odziedziczonych po Wańkowiczu” i tych „swoich” – hubalczyków, powstańców warszawskich, żołnierzy Andersa, polskich powojennych emigrantów politycznych, rodzin i rodów kresowych, postaci związanych z polską historią, pojawia się nagle gwiazda światowego kina? Autorka zaznacza we wstępie, że Ingrid Bergman należała do ulubionych aktorów pokolenia jej

rodziców, a i ona sama chętnie oglądała filmy z udziałem Bergman, która szczególnie stała się jej bliska poprzez opowieści męża. Od kiedy w 1990 r. w USA wyszła za mąż za Normana Boehma, opowiadał on często o swojej słynnej kuzynce, pokazywał fotografie, pamiątki, listy pisane przez nią do amerykańskich krewnych: do jego babki Blendy, ojca Carla Normana i do niego. Wspominał wizyty Ingrid w jego domu rodzinnym: że grał dla niej na pianinie m.in. *Pieśń Indii* Rimskiego-Korsakowa i walc minutowy Chopina i że był bardzo przejęty, kiedy go, małego wówczas chłopca, pochwaliła za grę. Spotykał się z nią w Paryżu, Deauville, Londynie, Nowym Jorku, poznał m.in. Roberta Rosselliniego, Yula Brynnera, Ritę Hayworth, Jeana Renoira. (...)

Co nowego dowiemy się o Ingrid Bergman po lekturze tej książki? Jak dotąd na ogół nie wiadano, że urodzona w Sztokholmie aktorka była pół Szwedką, pół Niemką. Ojciec Justus Bergman był Szwedem, a matka Friedel Adler – Niemką. W Ameryce, gdzie Ingrid Bergman zdobyła ogromną popularność, wręcz unikano wzmianek o jej niemieckim pochodzeniu. Podczas drugiej wojny światowej i w kolejnych latach nie przypomniano o niemieckim rodowodzie znanych aktorów, tak np. uczyniono w przypadku Clarka Gable'a. (...)

Nowe światło na twórczość Ingrid Bergman rzucają dokumenty rodzinne. Jej córka Pia stwierdziła np., że matka byłaby

nieszczęśliwa, wiedząc, że *Casablankę* uważa się za jej najlepszy film. Matka, według niej, znacznie wyżej ceniła i bardziej lubiła rolę Joanny d'Arc i ten film uważała za wyjątkowy w swojej karierze.

Jest pewną tajemnicą, jak ulotne zdawałoby się rzeczy – fragment listu, fotografia, niespodziewane spotkanie przywołane we wspomnieniach – mogą wiele powiedzieć o ludziach i ich świecie. I nie są to okruchy życia, ale sama jego esencja. Był rok 1955, gdy w jednym z listów z Paryża Norman, będąc wówczas gościem swojej sławnej kuzynki, pisał do domu: „Pojechaliśmy odwiedzić reżysera nowego filmu Ingrid – Jeana Renoira, który jest bardzo znany we Francji. Mieszka wraz z żoną niedaleko placu Pigalle w najbardziej rozsypującym się mieszkaniu, jakie widziałem w życiu. Wcześniej mieszkał tam w nim ojciec reżysera, słynny malarz. Piliśmy szampana, rozmawialiśmy, było bardzo przyjemnie”. (...)

Anna Bernat, NOWE KSIĄZKI, 1 lipca 2013 r.

Zagraj to jeszcze raz, Ingrid!

Po lekturze książki o Ingrid Bergman, autorstwa Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, zapragnąłem zobaczyć ponownie najśłynniejsze role tej wielkiej aktorki. Na szczęście jest to

możliwe, bo są już zarejestrowane na dvd. Od *Casablanki* i *Gasnącego po mienia* po *Jesienną sonatę*. (...)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej -Boehm przypomina nie tylko dzieje Ingrid Bergman i jej rodziny, ale także dzieje jej trzech mężów i czworga dzie ci. Wyłania się z niej wizerunek kobiety, która chciała mieć jak najlepszy kontakt ze swymi bliskimi, od których była oddalona. Z listów cytowanych przez autorkę wynika, że była zorientowana w ich losach, pamiętała o nich i czuła wdzięczność za każdą oznakę pamięci o niej. Była także skora do pomocy materialnej. Nie skąpiła również słów otuchy. Listy te, pisane czasem w pośpiechu na hotelowym papierze firmowym, cechuje jednak serdeczny stosunek do adresatów i potrzeba, by być wobec nich w porządku. Nie ma w nich gwiazdorskiego patrzenia z góry i poklepywania po ramieniu. Nie ma też imponowania i samozachłystywania się kolejnymi sukcesami. Jest natomiast przepraszający ton, za ustawiczny brak czasu wypełnionego pracą i wynikającymi z niej rozjazdami. Na fotografiach pokazujących te listy widać czytelny i staranny charakter pisma oraz układ zdań świadczący o potrzebie ładu i zmyśle estetycznym samej Ingrid. Niby drugorzędny drobiazg, a ile mówi o klasie człowieka.

**Andrzej Józef Dąbrowski, Zagraj to jeszcze raz, Ingrid!,
PRZEGLĄD POLSKI/NOWY DZIENNIK, Nowy Jork, 5 maja
2014 r.**

Nieźłomność „Inki” nie pozostawia nas obojętnymi

**Z Jackiem Frankowskim - karykaturzystą, reżyserem filmów
dokumentalnych, rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm**



Jacek Frankowski w programie telewizyjnym „Kawa czy herbata”
FOTO: DAREK KOWALEWSKI

Mówi Pan o sobie: "z wykształcenia leśnik, z zainteresowań historyk, z zawodu karykaturzysta ilustrator. Dodałabym jeszcze - reżyser wielu filmów dokumentalnych (bodaj najśłynniejszym jest film o „Ince”, o którym porozmawiamy.

Jako rysownik współpracował Pan z wieloma pismami, m.in. z „Rzeczpospolitą”, „Szpilkami”, „Karuzelą”, „Słowem Powszechnym”, „Lasem Polskim”. Dla telewizji tworzył Pan projekty lalek m.in. do Szopki Noworocznej 1990/1991, Wielkanocnej szopki w jajku emitowanej w 1991 roku i

widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdaleny, czyli szopka w grajdole”, będącego satyrycznym podsumowaniem historii PRL. Współpracował Pan z Erykiem Lipińskim przy organizacji Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury, założonego w 1987 r.

Za projekty lalek - zwierzątek do „Polskiego ZOO”, programu satyrycznego emitowanego w latach 1991-94, otrzymał Pan Złotą Szpilkę’91. W roku 1992 kapituła satyryków przyznała Panu tytuł Karykaturzysty Roku. Ma Pan ponad 200 wystaw indywidualnych. Za wystawę „Gwiazdy w siodle” przedstawiającą karykatury konne artystów, prezentowaną w 2008 r. podczas zawodów ART CUP w Klubie Jeździeckim „Lewada” w Zakrzowie otrzymał Pan od organizatorów tytuł „Kossaka karykatury polskiej”. W latach 1991-1994 robił Pan rysunki - karykatury do popularnego programu satyrycznego autorstwa Marcina Wolskiego „Polskie Zoo”.

W programie bohaterami były kukiełki zwierząt, które przedstawiały polityków. Przykładowo: Lew mówił głosem Lecha Wałęsy, głos Gawrona ludzako przypominał głos gen. Wojciecha Jaruzelskiego, Żółwia kojarzono z Tadeuszem Mazowieckim, Hipopotama z Jackiem Kuroniem, a Koziołka z Bronisławem Geremekiem. Para nierozłącznych Chomików jednoznacznie kojarzyła się widzom z braćmi Kaczyńskimi, a Kaczorek z

Donaldem Tuskiem. W Lisie widzowie dopatrywali się podobieństwa do Adama Michnika, a Dzik, no cóż z Dzikim nie zaprzyjaźnił się Aleksander Kwaśniewski, ale to inna historia. Początkowo politycy będący pierwowzorami futerkowych bohaterów odbierali to jako atak na ich wizerunek. Z czasem obecność w „Polskim ZOO” zaczęto traktować jako nobilitację.

Zaskoczeniem dla twórców programu satyrycznego adresowanego do dorosłego widza była popularność „Polskiego ZOO” wśród dzieci, które traktowały go jako zabawną wieczorynkę. Miałem jednak dowody, że dzieci znakomicie kojarzyły futerkowych i pierzastych bohaterów z ich pierwowzorami ze sceny politycznej.



Jacek Frankowski – autokarykatura – z dwiema postaciami z „Polskiego ZOO”; z lewej – Lech Wałęsa jako lew, z prawej – Aleksander Kwaśniewski jako dzik

Jak dalece trzeba być utalentowanym rysownikiem i zorientowanym w arkanach polityki, sytuacji bieżącej - by tworzyć kolejne rysunki, które zwracając uwagę na konkretne sytuacje, mobilizują do refleksji?

Na moją twórczość zarówno satyryczną, jak i filmową, bez wątpienia, ma wpływ doświadczenie życia w państwie rządzonym

przez komunistów. Pamiętam heroiczną, wieloletnią walkę w latach pięćdziesiątych mieszkańców Kraśnika Fabrycznego w obronie wiary. Do kulminacji doszło 28 czerwca 1959 roku, gdy przeciwko mieszkańcom dopominającym się prawa uprawiania kultu religijnego, komunistyczne władze wysłały oddziały milicji, brutalnie pacyfikujące protest. Pomimo represji mieszkańcy Kraśnika nie poddawali się w walce o kościół. Muszę nadmienić, że walka kraśniczan o kościół o blisko rok wyprzedziła bardziej spopularyzowane wystąpienia z podobnymi postulatami mieszkańców Nowej Huty 27 kwietnia 1960 roku.

W marcu 1968 roku byłem studentem 1. roku Wydziału Leśnego SGGW. Mój rok był głównym organizatorem strajku solidarnościowego SGGW wspierającego protest studentów Uniwersytetu Warszawskiego przeciw cenzurze i w obronie wolności akademickiej z żądaniem powrotu na studia aresztowanych studentów. Wszyscy zaangażowani czynnie w strajk mieli, wynikające z doświadczeń osobistych, powody do sprzeciwu wobec rządów komunistycznych.

Tragiczne wydarzenia z grudnia 1970 roku na Wybrzeżu pokazały jaką przepaść dzieli społeczeństwo i rządzących. Słynne gierkowskie „Pomożecie?” skierowane w 1971 roku do stoczniovców budziło nadzieję. Jednak wydarzenia radomskie 1976 roku rozwiały złudzenia co do stosunku władz do wolnościowych dążeń Polaków. Nadzieja jednak nie umierała.

Sierpień 1980 roku i narodziny Solidarności. Stan wojenny na blisko 10 lat zablokował dążenia wolnościowe, które wybuchnęły ze zwielokrotnioną siłą po sukcesie wyborczym Solidarności 4 czerwca 1989 roku. Trzydzieści lat budowania demokratycznej Polski to także materiał do głębokiej refleksji.

Nie wiem, czy moje wejście w twórczość satyryczną jest typowe. Rysować lubiłem zawsze, często wypełniając sobie tym zajęciem czas w trakcie lekcji z różnych przedmiotów. Były nawet z tym drobne szkolne afery po przechwyceniach przez nauczycieli moich karykatur budzących nadmierne rozbawienie koleżeństwa w trakcie lekcji.

Debiutowałem w 1974 roku, już po studiach będąc asystentem w Instytucie Badawczym Leśnictwa, równocześnie w „Słowie Powszechnym” i „Lesie Polskim”. Sięgnąłem po ołówek satyryka pod wpływem zauroczenia twórczością Andrzeja Mleczki. Miałem szczęście, Gdy po latach ograniczenia współpracy z prasą w latach osiemdziesiątych próbowałem po 1989 roku powrócić na łamy tytułów prasowych, z którymi współpracowałem wcześniej, powrócić było trudniej niż debiutować. W redakcjach, po weryfikacjach, pracowali zupełnie nieznani mi ludzie. Szczęście mnie nie opuszczało. Wiatrem w twórcze żagle była złożona przez Grzesia Szumowskiego propozycja zaprojektowania, w jego zastępstwie, lalek do telewizyjnej Szopki Noworocznej 1990/1991. Grzegorz, jeden z najwybitniejszych karykaturzystów

polских, miał tak wypełniony portfel zamówień, że nie był w stanie podjąć się tego zadania, które było marzeniem wszystkich karykaturzystów. Jestem mu za to wdzięczny do dzisiaj. To był początek mojej przygody we współpracy z telewizją, którą prowadziłem równoległe z rysowaniem dla prasy i wydawnictw książkowych.



Jacek Frankowski: „Jałta 1945” – ilustracja do widowiska telewizyjnego „Od Jałty do Magdalenki, czyli szopka w grajdole 1991”

Jakimi cechami powinien dysponować rysownik satyryczny?

Rzeczywistość pokazuje, że w dziedzinie rysunku satyrycznego o sukcesie nie koniecznie decydują umiejętności posługiwania się ołówkiem, czy piórkiem, bardziej zdolność stworzenia czytelnego przekazu odnoszącego się do realiów lub konkretnej sytuacji, który wywoła uśmiech lub gorzką refleksję. Mistrzem satyry opartej na bardzo prostych rysunkach, porównywanym poziomem do twórczości dziecięcej, był Sławomir Mrożek, autor popularnego w swoim czasie cyklu rysunków „Przez okulary Sławomira Mrożka”, które stały się klasyką. W moim przypadku, zamiast o talencie, wolałbym mówić raczej o szczerej chęci wypróbowania własnego poczucia humoru rysunkowego, z poczuciem humoru najpierw redaktorów, a później czytelników prasy. Sprowokowała mnie do podjęcia tego wyzwania, o czym już wspominałem, twórczość Andrzeja Mleczki, który imponuje artystyczną formą do dzisiaj.

Rysownikiem-karykaturzystą był Szymon Kobyliński. Jak dalece jest Panu bliska jego twórczość?

Z twórczością Pana Szymona zetknąłem się za pośrednictwem telewizji. W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. byłem wiernym widzem jego telewizyjnych pogadanek ilustrowanych na bieżąco mistrzowskimi rysunkami. Tematyka, którą prezentował Pan Szymon, była mi, pasjonatowi historii, bardzo bliska. Gdy już zadebiutowałem jako rysownik prasowy, wielkie moje uznanie budziła zdolność Pana Szymona pokonywania ograniczeń

cenzury, demonstrowana w cotygodniowym rysunkowym komentarzu na pierwszej stronie tygodnika „Polityka”. Jak wielka była to sztuka wie tylko ten, kto publikował w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dlatego, chociażby, będę dozgonnie fanem twórczości Wielkiego Szymona.

Ilustrował Pan także kilkanaście książek, między innymi „Ogniem i mieczem - w karykaturze”. W 2007 roku ukazały się: „Huragan” t. 1-2 i „Szwależerowie Gwardii” z napoleońskiego cyklu Wacława Gąsiorowskiego. Dla wydawnictwa Księży Marianów ilustrował Pan cykl poradników „Jak być..” „Jak być mamą”, „Jak być tatą” dalej: teściową, babcią, dziadkiem itd.

Propozycja ilustrowania książek pojawiła się na fali popularności mojej twórczości telewizyjnej. Ilustrowanie książek dawało mi poczucie dłuższego bytu ilustracji niż rysunków prasowych, o których mówi się, że rysunek opublikowany w dzienniku żyje dzień, w tygodniku tydzień. Książki nie tak szybko trafiają na makulaturę. Ilustracje książkowe wymagają jednak innego rodzaju umiejętności niż rysunek prasowy. Bardziej, od poczucia humoru twórcy ceni się jego umiejętności warsztatowe. W tej dziedzinie mistrzem jest Edward Lutczyn. Wielką frajdę sprawiała mi możliwość szkicowania na planach filmowych Jerzego Hoffmana, którego twórczości jestem fanem. Cykl karykatur bohaterów Trylogii Sienkiewiczowsko-Hoffmanowskiej

od lat nie traci zainteresowania widzów, dzięki trwałej popularności dzieła Mistrza Hoffmana. Na planie filmu „1920 Bitwa Warszawska” pojawiałem się ze studiującym operatorkę synem Adrianem, który filmował pracę ekipy. Relacja z prac nad filmem o polskim zwycięstwie w 1920 roku stała się jego debiutem filmowym.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmów o leśnikach, np. „Martyrologia leśników. Katyń, Sybir, Kresy”?

Debiutowałem w 2005 roku filmem „Adam Loret – szkic do portretu” zrealizowanym ze współpracy z Tomkiem Lengrenem. Adam Loret, przedwojenny Dyrektor Naczelny Lasów Państwowych, ma wybitne zasługi dla lasów, polskiej przyrody i tworzenia ekonomicznej siły odrodzonej Ojczyzny. Postać tragiczna. Zaginął po aresztowaniu przez NKWD na Nowogródczyźnie 17 września 1939 roku. Do dzisiaj nie udało się uzyskać od Rosjan dokumentów związanych z jego losem po aresztowaniu. Wymazany z historii przez cały okres PRL, zasługuje na przywrócenie pamięci. Filmem pokazującym dzieło i tragiczny los Adama Loreta podjąłem się tego zadania. Jest wiele tematów związanych z wkładem i ofiarą leśników na rzecz niepodległości. Staram się w twórczości filmowej dokumentować dowody niezłomnego patriotyzmu tej grupy zawodowej.

Leśnicy na Kresach Wschodnich byli pierwszymi ofiarami zsyłki

na Sybir 10 lutego 1940 roku. Wywożono leśników, osadników wojskowych, czyli żołnierzy wojny 1920 roku, a także wybitnych samorządowców. Wielu leśników, oficerów rezerwy złożyło swoje życie w Zbrodni Katyńskiej. Ci, którym udało się uniknąć syberyjskiej zsyłki stawali się pierwszymi ofiarami ludobójstwa na Wołyniu. Film ma swoją dramaturgię i jako leśnik miałem poczucie zobowiązania wobec tych ludzi, którzy stawali się ofiarami zbrodni zarówno niemieckich, sowieckich, jak i ukraińskich nacjonalistów.

Pana film „10.04.2010 Las Katyński” - relacja z uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu w dniu katastrofy samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem. Proszę go przybliżyć.

Delegacja leśników przygotowywała się do wyjazdu do Katynia na organizowane przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego uroczystości 70 rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Miałem z kamerą uczestniczyć w tej sześciuosobowej delegacji, której odmówiono miejsca w pociągu organizowanym przez Radę Pamięci Walki i Męczeństwa. Zbigniew Zieliński, były szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, zaproponował załatwienie dla mnie miejsca w prezydenckim samolocie, dla umożliwienia filmowego udokumentowania wydarzenia. Znał osobiście Władysława Stasiaka, szefa Kancelarii Prezydenta. W środę, 6 kwietnia, Zbigniew Zieliński otrzymał z Kancelarii

Prezydenta potwierdzenie zarezerwowania dwóch miejsc w prezydenckim samolocie. Ze względu na to, że delegacja leśników otrzymała zgodę dyrektora generalnego Lasów Państwowych na wyjazd busem, z żalem zrezygnowałem z lotu samolotem. Na szczęście Zbigniew Zieliński także nie skorzystał z miejsca w samolocie do Katynia. Być może w tym zdarzeniu kryją się powody mojego szczególnego, emocjonalnego stosunku do wszystkich ofiar tragicznego lotu. Wielu z nich znałem osobiście. Relacja z tych tragicznych obchodów Zbrodni Katyńskiej zawarta w filmie „10.04.2010 Las Katyński” jest formą hołdu, zarówno dla oficerów leżących w grobach katyńskich jak i ofiar katastrofy.

Jest Pan autorem scenariuszy i reżyserem ponad 15 filmów dokumentalnych. Poruszający, wzruszający film to: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć”. Przybliżyła niezwykłą postać Danuty Siedzikówny ps. „Inka”, sanitariuszki 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej (utworzonej i dowodzonej przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, także zamordowanego potem przez komunistów).



Inka – druga z prawej – z żołnierzami 4. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK FOTO: IPN.GOV.PL

Przypomnijmy postać „Inki”. Była córką Wacława Siedzika - leśniczego z Puszczy. Białowieskiej i Eugenii z domu Tymińskiej. Ojciec „Inki” w lutym 1940 roku został wywieziony przez Sowietów do łagru w ramach pierwszej wielkiej wywózki mieszkańców Kresów na Sybir. Stamtąd dostał się do formowanej armii Władysława Andersa. Zmarł 6 czerwca 1943 w Teheranie. Matka „Inki” współpracowała z Armią Krajową, została aresztowana przez Gestapo w listopadzie 1942, a we wrześniu 1943 roku rozstrzelana w lesie pod Białymstokiem.

„Inka”, uczestnicząca jako sanitariuszka w akcjach przeciw NKWD i UB, w czerwcu 1946 roku została wysłana do Gdańska po zaopatrzenie medyczne. Tam, w lipcu 1946 roku - w wyniku zdrady - została aresztowana i poddana brutalnemu śledztwu. Odmówiła składania zeznań i 3 sierpnia 1946 roku została skazana na śmierć.

Wyrok wykonano 28 sierpnia 1946 roku na sześć dni przed osiągnięciem przez „Inkę” pełnoletności. Przejmujące są zdjęcia i opis wydarzeń z więzienia na ul. Kurkowej w Gdańsku, gdzie „Inka” była więziona, sądzona i uśmiercona strzałem w głowę. Sama śmierć niespełna 18-letniej „Inki” jest także wstrząsająca... Pluton egzekucyjny wykonujący wyrok na „Ince” i „Zagończyku” strzelając do skazanych oszczędził młodą dziewczynę. Inka nie była nawet draśnięta kulą egzekutorów. Uśmiercił ją dowódca plutonu strzałem w głowę.

Dopiero w 1991 roku wyrok śmierci unieważniono. Przez wiele lat próbowano zlokalizować miejsce pochówku „Inki”. Jej szczątki odnalazł zespół kierowany przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka w 2014 roku.

Jak powstał pomysł nakręcenia filmu o „Ince”?

Impulsem do zajęcia się tym tematem była informacja

publikowana we wrześniu 2014 roku w prasie, radiu i telewizji, że najprawdopodobniej zostały odnalezione szczątki Danuty Siedzikówny „Inki”. Byłem przekonany, że sformułowanie o prawdopodobnym odnalezieniu szczątków „Inki” wynika z potrzeby potwierdzenia tego badaniami genetycznymi. Mogłem przyjąć ze stuprocentowym prawdopodobieństwem, że wszystkie inne cechy odnalezionych szczątków musiały przekonywać, że należą one do „Inki”. Przypomniał mi się wówczas komunikat z 1991 roku informujący o unieważnieniu wyroku śmierci wydanego przez komunistyczny sąd na młodocianej sanitariuszce. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas o „Ince”.

Bardzo poruszyła mnie historia skazania i wykonania wyroku na niepełnoletniej dziewczynie, której wojskowym zadaniem była pomoc rannym. Miałem nawet wątpliwości co do sensu anulowania wyroku, który przecież nie przywróci „Ince” życia. Szybko zrozumiałem, że anulowanie wyroku chociaż nie przywróci życia, zdejmie z „Inki” piętno zbrodniarki, przywróci jej godność patriotki, ofiary komunistycznego terroru.

Postanowiłem podjąć temat filmowej biografii „Inki”. Zapisałem tytuł filmu, nad którym rozpoczynałem pracę: „Inka. Zachowała się jak trzeba”. Gdy przygotowywałem się do rozpoczęcia zdjęć, telewizja 1 marca 2015 roku pokazała film Arka Gołębiowskiego „Inka. Zachowałam się jak trzeba”. Zbyt mała różnica w tytułach, żebym mógł pozostać przy pierwotnym pomysle. Kontynuowałem

pracę nie mając pomysłu na tytuł. W trakcie końcowego montażu, moją uwagę zwróciła wypowiedź rówieśniczki „Inki” Katarzyny Szpilewskiej, licealistki z 1 LO we Wrocławiu, noszącego imię „Inki”, która powiedziała, że dla „Inki” kwestia lojalności wobec kolegów z konspiracji w trakcie śledztwa była bardzo ważna. Była ważniejsza niż jej własne życie. To zdanie było dla mnie odkryciem. Miałem tytuł: „Inka. Są sprawy ważniejsze niż śmierć”. Opatrzność, lub dla innych szczęście, mi służyła. Udało mi się dotrzeć do ludzi znających „Inkę”. Zacząłem od rozmowy z Brunonem Tymińskim wujem „Inki”, który jeszcze w tamtym momencie zachowywał wspomnienia, lecz wkrótce nastąpił znaczny regres jego pamięci. Józef Rusak, żołnierz „Łupaszki” znał „Inkę” z okresu powojennej konspiracji. Opatrzność pamiętała o mnie. W sposób, który ktoś mógłby przypisać przypadkowi, pozwoliła mi dotrzeć do pamiętającego „Inkę” Witolda Grusa, syna nadleśniczego z Narewki, który w 1945 roku był szefem pracującej w nadleśnictwie „Inki”.

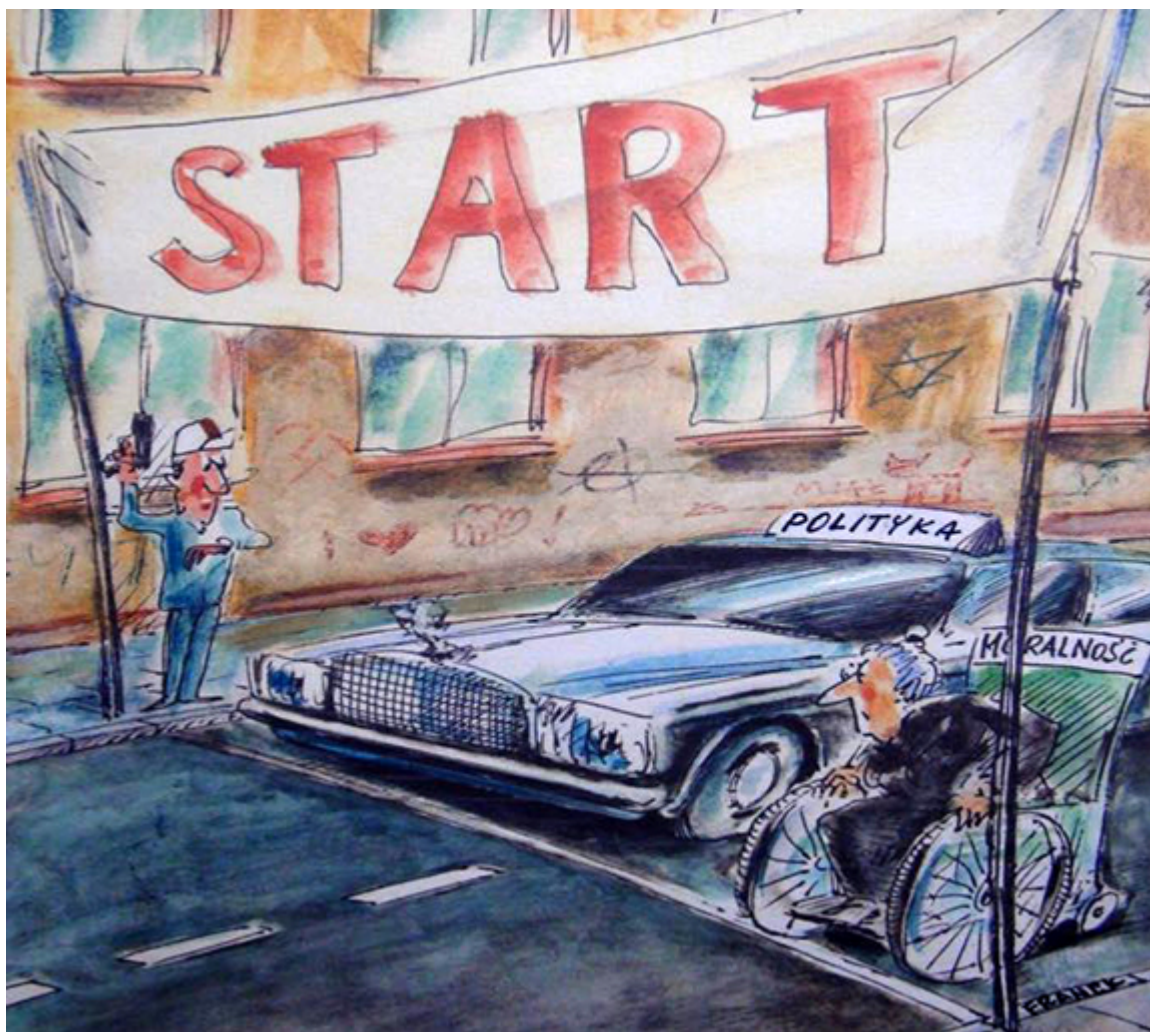
Praca nad filmem dostarczała mi silnych, niezapomnianych wrażeń, które z pewnością mają wpływ na mój system wartości. To jest siła niezłomności „Inki” i świadomie dokonanego przez Nią wyboru między życiem za cenę zdrady i śmiercią w imię wierności uznanym wartościom. Myślę, że ta jej niezłomność nie pozostawia widza filmu obojętnym.

To zaszczyt, że mogłem zrealizować film poświęcony tragicznej

biografii dziewczyny z Białowieskiej Puszczy, niezwyklej bohaterki walki o wolność Ojczyzny.

...Niezapomniana była wielka manifestacja patriotyczna, jaką był pogrzeb „Inki” i „Zagończyka” z uroczystościami żałobnymi w Bazylice Mariackiej i na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku 28 sierpnia 2016 roku.

Przypomnijmy, że w tym samym dniu wykonania wyroku na „Ince” 28 sierpnia 1946 roku także w więzieniu przy ulicy Kurkowej w Gdańsku, wykonano wyroki śmierci na podporuczniku Feliksie Selmanowiczu, pseudonim „Zagończyk”. Walczył w 3., 4 oraz 5. Wileńskich Brygadach AK. Od marca do czerwca 1946 roku, pluton, którym dowodził dokonał szeregu akcji między innymi w Gdańsku, Sopocie, Olsztynie i Tczewie, zdobywając broń oraz gotówkę, która została przekazana oddziałowi „Łupaszki”. Aresztowano go w lipcu 1946 roku i skazano na karę śmierci.



Jacek Frankowski: „Polityka i moralność”

Nie ogranicza się Pan do twórczości karykaturzysty i filmowca dokumentalisty. Dotarł do mnie Pana debiut literacki „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie”

Pisarze są dla mnie artystyczną grupą szczególnego zainteresowania. To ich twórczości zawdzięczam możliwość kształtowania wyobraźni plastycznej. Przecież czytając książkę, wyobrażamy sobie bohaterów i opisywane sceny. Słowa z książek przekładają się na obrazy. To jest cudowne. Czytanie literatury pobudza wrażliwość i uzdalnia wyobraźnię czytelnika do

twórczej, obrazowej kreacji. Jestem przekonany, że swoją zdolność przekazywania treści rysunkiem i tworzenie opowieści filmowych zawdzięczam w dużej mierze pisarzom. Moja mama Janina Frankowska z Frankowskich (sic), niespełniony talent literacki, troszczyła się o rozwinięcie, od najwcześniejszego dzieciństwa, mojego zainteresowania książkami. Do dzisiaj pamiętam czytane przez mamę cudowne wiersze z książek „Brzechwa dzieciom” czy „Lokomotywa” Juliana Tuwima. Jako prezent z okazji pierwszej komunii otrzymałem „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, książkę opisującą wojenne, tragiczne losy bohaterskich żołnierzy AK Batalionu „Zośka”, które bardzo mnie poruszyły. Moim pierwszym szefem w Instytucie Badawczym Leśnictwa był prof. Tytus Karlikowski, żołnierz Baonu „Zośka” odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari za udział w walkach w Powstaniu Warszawskim. Swoje włączenie w pracę Społecznego Komitetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka” traktuję jako wywiązanie się z zobowiązań wobec pamięci o poległych bohaterach, a także wobec wskazania jakim było podarowanie mi przez mamę książki o „Zośkowcach”.

Drugą książką wręczoną mi przez mamę z piękną dedykacją, którą traktuję jako swoiste zobowiązanie wobec historii, jest „Ziele na kraterze” Melchiora Wańkowicza, pisarza, którego otaczam kultem za jego wielki talent i dorobek w utrwalaniu historii, na którą składają się często drobne, ulotne wydarzenia,

w sposób genialny ożywiające opowieść. Wańkowicza czytało się i czyta, co jest dowodem nieprzemijających walorów jego twórczości. Cieszę się, że dzięki Pani książkom poświęconym Wańkowiczowi postać cenionego pisarza staje się dla mnie jeszcze bliższa.

Bardzo możliwe, że gdzieś w podświadomości, nurtowała mnie zazdrość wobec pisarzy, bo zadebiutowałem literacko książką poświęconą biografiom wybitnych twórców wpisanych w stuletnią historię Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. „Galeria ZAiKS 1918-2018 sto stron na stulecie” jest wyrazem hołdu dla dokonań kilkudziesięciu twórców i organizatorów działalności ZAiKS, z których wielu ma do dzisiaj uznaną pozycję, lecz wielu popadło w niezasłużone zapomnienie. Związany jestem od ponad czterdziestu lat z ZAiKS-em, ceniąc wysiłki i osiągnięcia Stowarzyszenia na polu ochrony praw autorskich. Mój literacki debiut traktuję jako spłatę długu wobec tych, którzy poświęcali swój talent i twórczy czas, walce o ochronę praw autorskich w okresach historycznych nie zawsze sprzyjających takiej działalności. Po tym pierwszym doświadczeniu marzy mi się napisanie sagi rodowej, która gdyby nawet miała być czytana tylko w rodzinie to warto poświęcić temu tematowi czas.



Jacek Frankowski: „Sąd Ostateczny”

Z Jackiem Frankowskim rozmawiała Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Wywiad ukazał się w „Nowym Dzienniku”, Nowy Jork, 1 marca 2020 r.

Zobacz też:

Prześmiewczy głos Ryszarda Drucha.

Ryszard Druch – rysunki satyryczne

Pisanie należy do świata magicznego

**Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware)
rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)**



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje” swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje” (Bellona) oraz „Wokół Wańkowicza”(PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po

latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani знаła? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliżyła jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę*. Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („... bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem

serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce”.

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej

nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczenięcych lat”, chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografy, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza” była książką „do czytania”, aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego

książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino”.

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino”, a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice”.

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żalosne donosy, które są w teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza” jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść „Gryfa””. Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze”. O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna” opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps.

„Gryf”, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej

z Gdańska, piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczęściowych lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawiane, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszku, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w

Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszychach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland's Master of the Written Word” nazwałam go „polskim Hemingwayem” – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykle życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów”. Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o... kotach... O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in. znani z książki „Sprawa honoru” Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality”, „The Roots are Polish” i książka o senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians”.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse’a) – „Open Wounds a Native American Heritage” (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki”); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach... z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion” (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką”). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle”. Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już”), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England” (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World

War II”.

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives” (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja “Ingrid Bergman prywatnie” – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books” (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia”).

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion”, która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach”. Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława” odwdzięczyła się, zapisując pani... miejsce w grobie na Powązkach.

No właśnie, czy wielu autorów otrzymało taki prezent od swoich bohaterów?

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi

swoje losy. A także, jak po ukazaniu się książek niektóre ich tematy pokazywały „inne, nowe wątki”.



Tablica pamiątkowa poświęcona Melchiorowi Wańkowiczowi, Warszawa, Nowy Świat, fot. wikimedia commons

W „Pisarskich delicjach” poświęciła pani rozdziały m.in. takim mistrzom pióra i publicystyki, jak Jerzy Giedroyc czy Isaac Bashevis Singer. Dlaczego właśnie oni stali się współbohaterami pani opowieści?

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu” dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach”.

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniałam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchiorzem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyc wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

**Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”:
„Pisanie pojmuję... jako posłannictwo, służenie innym, ale i
sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”,
zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może**

także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, poczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delikcje” zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy... pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?”.

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją.

Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy, wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznane zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie...

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble*, widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś” lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że

„historia lubi się powtarzać”.

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą” lub prawdą „innej osoby”. Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo” zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza... Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie...

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy

trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu – na co – po co?”, i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym”.

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy” uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dni całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności”.

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie – lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania... Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna – gdy jest taka – wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię,

rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję...

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści...

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał”. Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam”. Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć... Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało” mi się, nie potrafiłam...

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi,

że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie...

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

**Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku”,
20.09.2019 r.**

*

Zobacz też:

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

Pisarskie delicje i remanenty